

Krew Nowych Bogów



K. Wycisk

PROLOG

Od kąd tylko pamiętała, mieszkała z bratem w Gnieździe – osadzie zbudowanej przez bogów. Nie wiedziała, co stało się z jej rodzicami, nie wiedziała nawet, jak wyglądali. Brat nie chciał rozmawiać na ich temat, zbywając wszystkie jej pytania. Czasami doprowadzało ją to do rozpacz, bo od zawsze pragnęła dowiedzieć się czegoś o swoim pochodzeniu. Bywały momenty, w których podejrzewała, że za śmiercią rodziców kryła się jakaś tajemnica. Byli przecież młodzi i zdrowi. Trudno jej było uwierzyć w to, że ich serca nagle przestały bić. Moon była przekonana, że Tristan milczał wyłącznie dlatego, iż nie chciał jej perfidnie okłamywać. Ale czy zatajanie prawdy nie było równie okrutne?

Westchnęła głośno, patrząc na czerwone jabłko trzymane w dłoni. Do jej ust napłynęła ślina. Przełknęła, przygryzając dolną wargę. Owoce były rzadkością w Gnieździe, rarytasem, na który stać było tylko nielicznych, a większość mieszkańców żywiła się sztucznie wyprodukowanym jedzeniem dostarczanym przez anioły.

– Wszystkiego najlepszego – odezwał się Tristan, obdarzając młodszą siostrę ciepłym uśmiechem. – Na co czekasz? – Uniósł brwi, poprawiając kucyk z tyłu głowy. – Smacznego.

Moon wstała od stołu. Ich dom był małą chatką z dwoma pomieszczeniami. Jedno stanowiło równocześnie kuchnię, sypialnię i salon, a drugie ciasną łazienkę. Nie mogli narzekać, niektórzy żyli o wiele gorzej.

Zatrzymując się przy drewnianym, podniszczonym blacie kuchennym, otworzywszy szufladę, wyjęła z niej ręcznie wykonany nóż.



Przekroiła jabłko, po czym podała połówkę bratu. Nie mogłaby zjeść całego owocu sama, nie dzieląc się z Tristanem. Miała szczodłą naturę, była bardzo wrażliwa na potrzeby innych.

– To twoje urodziny – przypomniał jej, ale Moon wiedziała, że z chęcią wgrzyłby się w soczyste jabłko, więc podsunęła mu zachęcająco smakołyk. – Dzięki! – Uległ w końcu, delektując się smakiem.

Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie w duchu. To, że udało się jej przeżyć do wieku trzynastu lat, zakrawało na cud, który w dużej mierze zawdzięczała Tristanowi. Podejrzewała, że gdyby nie on, zginęłaby w tym niebezpiecznym świecie. Brat zawsze wiedział, kiedy nie należy wychodzić z domu. Miał pracę przynoszącą wystarczające dochody, by wyżywić ich dwoje oraz posiadał kontakty, o których nigdy nie mówił przy siostrze. Domyślała się, że chce ją w ten sposób chronić, ale mimo to marzyła, aby podzielił się z nią choć częścią swoich sekretów. Pragnęła przynajmniej trochę mu pomóc. Bywały dni, kiedy czuła się jak kula u jego nogi. Zdawała sobie sprawę, że Tristan nigdy tak o niej nie myślał, ale nie potrafiła pozbyć się tych przykrych refleksji.

– Nie wychodź dzisiaj w nocy na zewnątrz! – nakazał nagle, a jego twarz przybrała groźny i stanowczy wyraz. – Będzie się tam roiło od aniołów i wampirów.

Moon drgnęła gwałtownie, obejmując się ramionami. Dobrze wiedziała, co będzie się działo w centrum Gniazda. Aniołowie wzniesli tam olbrzymią arenę. Eliptyczna budowla była tak wielka, że mogła pomieścić do siedemdziesięciu tysięcy widzów. Raz w tygodniu odbywały się na niej igrzyska obejmujące walki dobrowolnie zgłaszających się kandydatów oraz egzekucje skazanych na karę śmierci.

Mieszkańcy Gniazda dzielili się na dwie grupy. Jedni nienawidzili bogów za to, że najechali na Alaris, siejąc strach i spustoszenie, inni kochali ich, podziwiając legendarne piękno, nieśmiertelność oraz nadprzyrodzone moce. Niektórzy wznosili do nich modły, czcząc i składając ofiary z własnej krwi.

Moon nie potrafiła zrozumieć, jak można dobrowolnie ciąć się nożem, by oddać swoją krew istotom odpowiedzialnym za powolną zagładę ludzkości.

– Zabarykadować drzwi? – zapytała retorycznie, bo doskonale znała odpowiedź. – Zostaniesz ze mną? – dodała przyciszonym głosem.

Tristan przymknął na moment oczy i odetchnął głęboko. Oparł ręce na biodrach, spuszczać wzrok.

– A więc nie. – Domyśliła się.

Jej brat pracował dla handlarza winem i sprzedawał trunki, gdzie się tylko dało. Igrzyska były najlepszą okazją do zarobienia paru geltów¹, a szkopał tkwił w tym, że wino schodziło najlepiej podczas imprez organizowanych na cześć bogów. Miały one miejsce najczęściej nocą, na rynku, gdzie gromadzili się aniołowie i wampiry korzystające z naiwności i głupoty ludzkiej.

– Myślisz, że się pojawi? – Spojrzała ukradkiem na Tristana, który od razu pokręcił głową.

Jeszcze nikt nie widział bogów na własne oczy. Legendy głosiły, że większość z nich w jakiś sposób zginęła albo wróciła do niebiańskiego królestwa. Mówiono, że na Alaris został tylko jeden i że zamieszkiwał najwyższą z czterech wież obronnych Gniazda. Rzekomo pozbył się innych, by samemu rządzić niepodzielnie.

– Nie rozmawiajmy dłużej na ten temat – zbył ją, machając ręką. – Po prostu mnie posłuchaj i nigdzie nie wychodź.

Usta Moon zacisnęły się mocno. Miała ochotę wyrzucić oczami, ale całe szczęście w samą porę się powstrzymała. Nie chciała, by brat odebrał ten gest jako brak szacunku. Kochała i respektowała Tristana – nigdy nie okazałaby w otwarty sposób nieposłuszeństwa.

– Uważaj na siebie – wymamrotała po chwili.

Chłopak wzruszył ramionami, uśmiechając się beztrząsko. Nie wyglądał na wystraszonego czy zaniepokojonego, ale Moon rzadko kiedy udawało się odczytać jego prawdziwe emocje. Tristan maskował je przed nią umiejętnie.

– Widzimy się jutro rano – powiedział, klepiąc ją dwa razy po głowie, jakby była małym dzieckiem.



¹ Gelt (z niem. *das Geld* – pieniądź) waluta w Gnieździe (przyp. aut.).

Wiwaty widowni składającej się z aniołów, wampirów i ludzi trafiły do uszu Tristana, który cierpliwie czekał na rozpoczęcie swojej walki. Jego serce waliło wyjątkowo głośno. Próbował skupić się na tym dudnieniu i wyciszyć wszystkie inne dźwięki, ale nie bardzo mu to wychodziło. Słyszając szcęk mieczy i okrzyki walczących na arenie istot, miał wrażenie, że już czuje zapach świeżo rozlanej krwi.

Aniołowie urządzali igrzyska raz w tygodniu, podobno na rozkaz boga. Tristan śmiał jednak wątpić, że którekolwiek z legendarnych, nieśmiertelnych stworzeń naprawdę istniało. Podejrzewał anioły o zmyślenie tej mroźnej krew w żyłach bajeczki, by jeszcze bardziej trzymać ludzkość w ryzach. Każdy człowiek miał drżeć na samą myśl o bogach i ich gniewie.

Aniołowie nienawidzili ludzi. Musieli być głęboko nieszczęśliwi z przymusu inspirowania się pomysłem pradawnych, ludzkich władców Alaris, którzy uwielbiali krwawe igrzyska.

Chłopak zacisnął pięści i zazgrzytał zębami. Nie był dumny z okłamywania siostry, ale nie widział innego wyjścia. Moon była niewinną dziewczynką, która nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo niebezpieczny i bezlitosny stał się świat. Tristan musiał ją chronić za wszelką cenę. Czuł się za nią odpowiedzialny i wiedział, że zrobiłby dla niej wszystko, byle tylko była szczęśliwa. Kazał wierzyć siostrze, że pracuje dla jednego z właścicieli winiarni, ale w rzeczywistości zarabiał na życie walcząc.

– Nie rób tego. – Melodyjny, cichy głos wyrwał go z rozmyślań.

Odwrócił się powoli, doskonale wiedząc, kogo zaraz zobaczy. Na parę sekund wstrzymał oddech, spotykając się spojrzeniem z właśnie przybyłą dziewczyną. Przełknął nerwowo ślinę, czując, jak żołądek nieubłaganie się kurczy. Boleśnie przygryzł wewnętrzną stronę policzka, nakazując sobie zachowanie spokoju. Obezładniło go znajome uczucie. Krew przyspieszyła bieg. Serce biło w szaleńczym rytmie. Miał wrażenie, że się dusi, ale mimo to znalazł siłę na zacerpnięcie kolejnego wdechu.

– Co tutaj robisz? – zapytał. Wiele kosztowało go, żeby nie wziąć jej w ramiona. – Nie powinno cię tutaj być – oznajmił, próbując nadać swojemu tonowi ostrzejsze brzmienie. – Twój ojciec nie może cię...

– Chrzanić go! – weszła mu w zdanie, mrużąc piękne, błękitne oczy. – Nic mu do tego, z kim się spotykam – dodała rozjuszona, robiąc krok w jego stronę.

Tristan nie spodziewał się zobaczyć Laveny na kilka minut przed wejściem na arenę. Dziewczyna powinna siedzieć teraz w łóżu razem ze swoim ojcem i przyglądać się rozlewowi krwi z bezpiecznej odległości.

Chłopak wolał nie myśleć, jak zareaguje Sedric, gdy się dowie, co wyprawia jego córka. Ojciec Laveny był odpowiedzialny za organizację i przebieg cotygodniowych igrzysk. Sknerus całował anielskie dupy, jakby były ze złota. Robił wszystko, by zadowolić swoich panów. Jak potulny kundel skazywał na śmierć pobratymców w zamian za kilka nieświeżych kości.

– Twój ojciec jest nieobliczalny, doskonale o tym wiesz – przypomniał jej pełen obaw. – Najchętniej zamknąłby cię w klatce, a do nogi przymocował ciężką kulę.

Jasnowłosa dziewczyna zamknęła na chwilę powieki, nabierając głęboko powietrza. Kiedy otworzyła oczy, bez uprzedzenia podeszła do Tristana i przywarła do niego, jakby świat się walił.

– Podśluchałam wczoraj, jak ojciec rozmawiał z Rowanem – przyznała, chowając twarz w zagłębieniu jego szyi. Tristan bezwolnie objął ramionami jej drobną talię. – Dzisiaj będą walczyć także wampiry – wyszeptła, jeszcze mocniej tuląc się do niego. – Zabiją cię – dodała, a przejmujący ton głosu zdradził, że zaczęła płakać.

Rowan należał do gwardii anielskiej. Był cholernym sadystą, śliniącym się na widok krwi. Zapewne, gdyby nie brzydził się ludzkiego ciała, własnoręcznie torturowałby każdego człowieka całymi godzinami, upajając się krzykami i widokiem cierpienia. Swoimi długimi, złotymi włosami, jasnoniebieskimi oczami i przystojną twarzą przypominał jednego z legendarnych aniołów, do których modlili się przodkowie ludzkości.

– Zapłacą mi podwójną stawkę za starcie z wampirem – podsumował Tristan, próbując uśmiechem nieco uspokoić Lavenę.

Dziewczyna gwałtownie się spięła i mocno odepchnęła go od siebie, po czym pospiesznie otarła łzy przedramieniem.

– Jeśli wkroczysz na arenę, zginiesz – zakomunikowała ostrym tonem. – Chcesz tego? – zapytała zrozpaczona. – Zostawisz siostrę na pastwę losu? Mnie także?

Tristan zacisnął zęby z taką siłą, że aż zazgrzytały. Nagle ogarnęła go złość. Nie był jednak do końca pewien, czy gniewa się na Lavenę, czy na samego siebie. Potrzebował pieniędzy, nie mógł zmarnować takiej okazji! Zwyciężając ze zwyczajnym człowie-

kiem, dostałby zaledwie dziesięć geltów. Zabijając wampira, może zgarnąć nawet trzy razy tyle.

Był wyśmienitym wojownikiem, ojciec nauczył go walki mieczem, zapasów, strzelania z łuku i ciskania oszczepem. Żaden śmiertelnik nie mógł się z nim mierzyć. Sługusy aniołów były jednak o wiele szybsze od ludzi, a zabicie ich nie ograniczało się do zatopienia ostrza w sercu. By pozbawić wampira życia, trzeba było odciąć mu łeb.

– Potrzebuję tych pieniędzy – wypowiedział głośno swoje myśli. – Mieszkamy w Południowym Sektorze, a życie tam nie jest łatwe, Laveno.

Gniazdo było podzielone na dwie części potężnym, wysokim murem. Sektor Północny zamieszkiwali ludzie, których majątek i uległość względem aniołów pozwoliły na nieco większy komfort. Sektor Południowy był w większości marginesem społecznym, gdzie wyrzucano wszystkie szumowiny. Aniołowie prawdopodobnie mieli nadzieję, że w ten sposób nieposłuszni ludzie sami się pozabijają, dostarczając im dodatkowo niezłej rozrywki.

– Nie bądź głupi! – Dziewczyna podniosła głos, a kiedy zdała sobie z tego sprawę, spojrzała nerwowo za siebie, upewniając się, że nikt ich nie podsłuchuje. – Rozumiem, że chcesz zebrać wystarczająco dużo geltów, by mieć chociaż cię szansy na przeprowadzenie się do Północnego Sektora, ale to, co planujesz, jest czystym szaleństwem.

Moon nie zasługiwała na życie w tym bagnie. Była jeszcze tak niewinna, nieskażona. Sektor Południowy nie był dla niej. Nie bez powodu Tristan prawie nigdy nie wypuszczał jej z domu samej. Zwyródniałe gnidy czaiły się za każdym rogiem, tylko czekając na okazję. Morderstwa, kradzieże i gwałty były na porządku dziennym.

– Nie mogę przepuścić takiej okazji – powiedział twardo, dając Lavenie do zrozumienia, że nic nie zmieni już jego zdania. – Dam radę, zobaczysz.

Załamana dziewczyna zacisnęła usta w cienką linię. Jej broda zdrzała, a z oczu nieprzerwanie spływały słone łzy.

– Kocham cię – wyszeptła ledwo słyszalnym głosem, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, zostawiając Tristana samego.



Minęły trzy godziny, od kiedy Tristan wyszedł, a Moon ciągle nie zmrużyła oka. Na samą myśl o tym, że aniołowie i wampiry znajdowały się tak blisko, przeszły ją dreszcze. Dzięki Tristanowi wiedziała, jak unikać tych istot, ale to nie oznaczało, że za każdym razem udawało jej się schodzić im z drogi. Raz, całkiem niechcący, otarła się nawet o ramię jednego z nich. Zamarła w tamtym momencie, w napięciu wstrzymując oddech. Nie miała zielonego pojęcia, co ze sobą zrobić. Kiedy spostrzegła, że anioł w ogóle jej nie zauważył, natychmiast doszła do siebie i pospiesznie się oddaliła.

Czasami się zastanawiała, dlaczego bogowie skazali ludzkość na taki los. Pomijając fakt, że oni prawdopodobnie w ogóle nie istnieli, musieli przecież mieć jakiś powód. Moon nie potrafiła uwierzyć, że chodziło wyłącznie o władzę. To byłoby zbyt proste.

Niemal cała ludzkość wyginęła. Ci, którzy zdołali przeżyć, mieszkali w Gnieździe. Bogowie pojawili się na Alaris tysiące lat temu, przywłaszczając sobie wszystko, czego tylko zapragnęli, a przynajmniej tak głosiły legendy. Odebrali całą nadzieję, dając w zamian strach. Mawiano, że spojrzenie w oczy boga równa się śmierci, że sama jego obecność potrafi przysporzyć niewyobrażalnego bólu. Nikt jednak nie mógł potwierdzić ani zaprzeczyć tym słowom. Każdy, kto miał kontakt z tymi nieśmiertelnymi istotami, przepadał bez śladu. Po Gnieździe krążyły tylko mroczne opowieści i pogłoski – żadnych sprawdzonych faktów.

Niektórzy mówili, że bogowie władali nadprzyrodzonymi mocami; że potrafili leczyć dłońmi i wchodzić do umysłu, skazując swoje ofiary na wieczne męki. Mówili, że byli jak śmiercionośne kosmary – wkradali się do snów ludzi, mieszając im w głowach. Legendy głosiły, że ich piękno było nie do opisania. Podobno mieli turkusowe oczy przypominające czyste morze, a ich krew była płynnym złotem.

Moon westchnęła głośno, spoglądając na półkę ze starymi książkami, które zostawiła po sobie jej matka. *Prawdopodobnie za dużo czytam*, pomyślała. Legendarni bogowie byli źli i nie warto było myśleć inaczej. Gdyby Tristan wiedział, nad czym rozważa jego siostra,

wyśmiały ją i wyzwał od szalonych. Dla niego wszystko było czarne albo białe. Bogowie, aniołowie i wampiry zaliczały się, rzecz jasna, do tych ciemnych barw. Możliwe, że mając okazję zabicia jednego z nich, brat nie zawahałby się i od razu zgładziłby znieprawioną przez siebie istotę. Nieważne, czy byłaby ona winna. Nieważne, czy miałyby coś do powiedzenia. Grunt, żeby zginęła.

Dziewczyna przetarła zmęczone oczy, podnosząc się z ciasnego łóżka. Nie mogąc się powstrzymać, podeszła do zasłoniętego grubymi szmatami okna. Zatrzymała się na krótką chwilę i mogłaby przysiąc, że poczuła wzrok Tristana na plecach. Podążając za przeczuciem, rozejrzała się, choć doskonale wiedziała, że była w domu sama. Niepewnie chwyciła chropowaty szary materiał, delikatnie go odsuwając.

Jej serce przyspieszyło, a palce zaczęły mrowić. Spowolniła oddech.

Ludzie na zewnątrz zaczynali świętować. Niektórzy trzymali pochodnie, krzycząc coś i wiwatując. Nie wyglądali na zatrwożonych. Śmiali się, szczerząc przy tym zęby, jakby nie mogli się doczekać, aż spuszczą z nich krew.

Ostrożnie zbliżyła się jeszcze parę centymetrów do okna. Jej ciepły oddech zostawił mgiełkę na szybie.

Świętujący ludzie zaczęli rozchodzić się na boki, robiąc przejście. Nagle zrobiło się osobliwie cicho, a jedynym dźwiękiem przerywającym tę ciszę były zbliżające się kroki. Przodem szli aniołowie, ich oczy błyszczały w świetle księżyca niczym gwiazdy. Była ich zaledwie garstka, ale swoją prezencją powalali na kolana każdego, kto tylko na nich spojrzał. Kroczyli z wysoko uniesionymi głowami, nie racząc nawet zerknąć na zgromadzony tłum.

Przywdziali biel, jak zwykle podczas igrzysk. Kiedyś ten kolor kojarzył się z czystością, niewinnością, wrażliwością. Teraz niósł za sobą strach i trwogę. Każdy z aniołów miał przy sobie bogato zdobiony sztylet, schowany w pochwie zawieszony przy pasie. Mówiono, że aniołowie brzydzą się ludzkim ciałem, dlatego ich dłonie były zazwyczaj schowane w rękawiczkach. Jeśli zapragnęli krwi, pili ją wyłącznie z kielichów.

Ta zasada nie dotyczyła jednak wampirów. W przeciwieństwie do swoich panów uwielbiali zatapiać ostre kły w żyłach śmiertelników, biorąc to, co chcieli, i nie przejmując się bólem, który sprawiali. Zabarwione na czerwono tęczęwki oczu przypominały Moon

o ich drapieżnej naturze. Mogłaby przysiąc, że niektórym z nich ciekła już ślinka na myśl o przegryzieniu tętnicy.

– Nie ma go – wyszeptła sama do siebie, nie mając pewności, czy czuje satysfakcję, czy może zawód.

Słyszała tak wiele opowieści o bogach, ale nigdy żadnego nie widziała. Za każdym razem, gdy organizowano uroczystości na ich cześć, miała cichą nadzieję, że któryś z nich nieoczekiwanie się pojawi. Gdyby Tristan o tym wiedział, z pewnością potrzęsnałby nią jak szmacianą lalką, przywołując do porządku.

Moon zmrużyła oczy, wzdychając z rezygnacją. Sama nie do końca wiedziała, skąd chęć spotkania tych tajemniczych istot. Tak wiele razy rozmyślała, co by zrobiła, gdyby to w końcu się wydarzyło. Bardzo możliwe, że zamarłaby tak samo, jak w przypadku anioła, ale może tym razem byłoby zupełnie inaczej? Byłaby przygotowana. Może udałoby się jej nawet zadać kilka pytań?

Zaśmiała się pod nosem, kręcąc głową z niedowierzaniem. Cóż za absurd. Prawdopodobnie prędzej pozbawiliby ją głowy, niż pozwolili się odezwać. Legendy głosiły, że bogowie byli bezlitośni. Byli nieśmiertelni. Jak wielka samotność musiała im doskwierać. Jak mądrzy. Jak bardzo doświadczeni...

Otworzyła oczy koloru głębokiej zieleni, zasłaniając z powrotem okno. Zanim położyła się spać, zatrzymała wzrok na drzwiach wyjściowych. Brat nieraz opowiadał jej przerażające historie o aniołach i wampirach, skutecznie ją od nich odstraszał. Moon nigdy nie brała udziału w igrzyskach i nocnych obchodach. Bywały chwile, w których chciała przekroczyć próg domu, by przekonać się na własnej skórze, jak to wszystko wygląda, ale one nie trwały długo. Dziewczyna nie chciała zawiść starszego brata. Nie chciała sprawiać niepotrzebnych problemów.



Wielkie wrota otworzyły się i korytarz zalała luna światła. Jednocześnie smród krwi i flaków uderzył Tristana. Chłopak zatrzymał spojrzenie na pokiereszowanych zwłokach wynoszonych właśnie przez ludzkich niewolników.

Strach wdarł się nieproszony do jego serca, kiedy usłyszał głośne fanfary. Nawet po tylu stoczonych walkach był on jego stałym towarzyszem na arenie.

Trzymając w dłoni miecz, uniósł wzrok, spoglądając na piękny księżyc w pełni. Przełknął ślinę, modląc się w duchu o zwycięstwo. Zdając sobie jednak sprawę z własnej głupoty, wywrócił oczami i potrząsnął energicznie głową. W dawnych czasach wierzono w różne dogmaty. Między innymi w boga, który miał przyjść na Alaris, by ocalić i zbawić ludzkość, a także w istnienie aniołów – istot duchowych służących bogu i przez niego obligowanych do różnych zadań. Wierzono naiwnie, że aniołowie mieli ochraniać ludzi. *Co za bzdury*, pomyślał.

Aniołowie zapewne skręcali się ze śmiechu, kiedy pierwszy raz przekroczyli próg jednej ze świątyń i zobaczyli przedstawiające je mozaiki, malowidła i posągi.

Dzisiejszy pojedynek nie będzie łatwy. Tristan zdawał sobie sprawę, że wchodząc na arenę igra ze śmiercią. Jego zwinność i szybkość nie mogły się równać z umiejętnościami wampirów. Będzie musiał wykazać się sprytem i pomysłowością.

Dźwięk otwierających się naprzeciwko wrót wyrwał go z zadumy. Nieoczekiwane warczenie sprawiło, że otworzył szerzej oczy, a dreszcze przeszły mu po plecach. Lavena ostrzegła go, że Rowan wystawi do walki wampira, ale nie wspominała, w jakim stanie będzie jego przeciwnik.

Wampiry były niegdyś zwyczajnymi ludźmi, ale łaknąc nieśmiertelności, przysięgły dożgonną służbę aniołom, które bez wahania podzieliły się z nimi swoją krwią, skręcając w kluczowym momencie karki. Po przebudzeniu stawali się wiernymi sługusami aniołów. Wypełniali ich rozkazy bez mrugnięcia okiem, nie mając innego wyboru. Ich głód i pragnienie zaspokajała wyłącznie krew, a bez niej przeistaczały się w bestie, pozbawione wszelkiego człowieczeństwa.

Tristan poprawił chwyt na mieczu, ale jeszcze nie przybrał bojowej postawy. Jego zmysły się wyostrzyły, odbierając bodźce intensywniej niż zazwyczaj.

Wpatrywał się z przerażeniem w czerwone ślepiea zakutego w grube łańcuchy potwora prowadzonego przez dwóch aniołów. Wampir, z którym miał walczyć, najwidoczniej nie dostawał pożywienia przez kilka tygodni. Jego mutacja jeszcze się nie dopełniła, ale niewiele do tego brakowało. Skóra nieszczęsnej istoty powoli

przybierała szarą barwę i obrastała czarną sierścią. Palce dłoni i stóp przypominały szpony. Na plecach zaczęły kształtować się nietoperze skrzydła, a długi, błyskawicznie poruszający się ogon zakończony był ostrymi jak brzytwa kolcami.

Chłopak bezwiednie zrobił krok w tył, czując, jak krople potu spływają z jego czoła. Z trudem powstrzymywał się od ucieczki, która i tak skończyłaby się niepowodzeniem.

Szczerzący się okrutnie aniołowie uwolnili dzikie stworzenie z łańcuchów, bezzwłocznie wzbijając się w powietrze na swoich potężnych skrzydłach.

Rozwścieczona bestia nie czekała ani chwili dłużej, tylko ruszyła do ataku. Ślina ciekła jej z pyska, a kły błyszcząły w świetle księżyca. Jej ruchy były nieskoordynowane, jakby nie mogła się przyzwycząić do zmian w swoim ciele, chwiała się na boki, ciężko sapiąc.

Gwałtownie zatrzymała się i stanęła jak kobra szykująca się do ataku. Jakby nagle w jej wnętrzu obudził się człowiek, którym niegdyś była. *Wątpliwe*, pomyślał Tristan. Raczej szukała słabego punktu w obronie. Druga szansa może się nie nadarzyć.

Chłopak natychmiast natarł, uderzając mieczem w dół, ale potężna łapa bestii zablokowała cios, łapiąc za ostrze, jakby było zwykłym patykiem. Tristan bez wahania pociągnął za miecz, przecinając grubą skórę rywala, ale ten nawet nie jęknął i, co gorsza, prawie nie krwawił, co wskazywało na to, jak bardzo był wygłodniały.

Potwór rozwarł szpony i zaczął nimi bezmyślnie przecinać powietrze. Gdyby dorwał w nie Tristana, z łatwością rozszarpałby jego umięśnione ciało.

Młodzieniec zerkał co rusz na kolczasty ogon, jednak ten tylko wił się nieporadnie, tak samo jak pseudoskrzydła. Najwyraźniej wampir nie umiał jeszcze korzystać ze swojego nowego ciała, co dawało Tristanowi nadzieję na zwycięstwo.

Chłopak zaatakował ponownie, markując pchnięcie w ramię. Bestia nie przewidziała tej taktyki i dała się nabrać. Szybkim ruchem zmienił kierunek pchnięcia, prowadząc ostrze w drugą rękę potwora. Dosięgnął celu, a bestia zawyła, wywołując na jego twarzy ledwo widoczny uśmiech satysfakcji. Uczucie euforii nie trwało jednak długo. Tristan szybko zauważył, że rana, którą zadał, nie była zbyt głęboka. Liczył na porządne uszkodzenie mięśni, wtedy wampir nie mógłby atakować lewą łapą. Niestety draśnięcie, po-

nownie ledwo krwawiące, szybko się zagoiło, a ryk bólu musiał być spowodowany trafieniem w nerw.

Nim Tristan się zorientował, że właśnie traci okazję do natarcia, bestia też się opanowała. Natarli więc jednocześnie. On bronił się i atakował, najczęściej jak tylko mógł, ale potwór wyraźnie nad nim górował. Starał się więc cofać, by ustępować pola przeciwnikowi, mając nadzieję, że tak prymitywny zabieg podziała na mało inteligentnego przeciwnika.

Nagle wycofał się dynamicznie i opuścił miecz, udając słabość. Nie miał już innych pomysłów. Bestia nie zaszarżowała po ziemi, tylko jednym susem skoczyła na niego. Nie do końca o to chodziło, ale nim umysł Tristana pojął, co się dzieje, wyćwiczone ciało zareagowało automatycznie. Uniósł miecz nad głowę i ciął w dół, jednocześnie schodząc z linii ataku bestii.

Był zbyt wolny. Pazury prawej ręki wampira wbiły mu się w bark, wytrącając z równowagi. Mimo bólu starał się wylądować bezpiecznie. Metr ostrej stali w dłoniach nie ułatwiał zadania, jednak przydały się lata doświadczenia w walce i zdołał pospiesznie oddalić się od przeciwnika. Nie wszystko było stracone.

Jego złamana ręka wisiała na poszarpanych strzępach mięśni i kawałku skóry, krew ciekła z kikuta. *To już nie zagoi się poprawnie*, przeszło mu przez myśl. Miecz trzymał już w prawej ręce, która była mniej sprawna, ale lewy bark nie funkcjonował. Adrenalina tłumiła ból, lecz nie dodawała mu siły. Jego reakcje były spowolnione, a mięśnie odmawiały posłuszeństwa, powoli zaczynało mu brakować tchu. Coraz trudniej było też skupić się nad przemyślany mi ciosami.

Potrząsnął energicznie głową, biorąc się w garść. Wampir jeszcze skomlał, klęcząc na kolanach, jego łeb wystawiony był na cios. Tristan nie mógł dłużej zwlekać. Drugiej takiej szansy nie dostanie. Musi wrócić do Moon, zobaczyć Lavenę i jeszcze raz skosztować jej słodkich ust. W duchu obiecał sobie, że jeśli wyjdzie z tego żywy, już nigdy nie postawi stopy na arenie i naprawdę zajmie się karierą w winiarstwie.

Natarł na bestię, celując w jej szyję. Ta nawet nie patrzyła, ciągle skomlał z bólu.

Tristan ciął, mimo cierpienia wkładając całą pozostałą siłę w to uderzenie, ale ono nigdy nie dosięgło celu. Potwór natychmiast się odwrócił i zamasztywym ciosem lewej łapy trafił w rękojeść miecza,

rozbrajając chłopaka. Nie tylko wybił mu broń z ręki, ale i nadgarstek. Młody mężczyzna zawył.

Wampir natychmiast skoczył na Tristana i wgrzył się w jego szyję, brutalnie ją rozrywając. Chłopak instynktownie zacisnął dłoń na ranie, daremnie próbując zatamować silny krwotok. Wciągając powietrze, krztusił się własną krwią. Padł bezwładnie na ziemię, a bestia kontynuowała ucztę, rozpruwając mu brzuch. Zachłannie zaczęła pożerać wnętrzności, mlaskając i warcząc, a kałuża gęstej krwi pod martwym już ciałem rosła w szybkim tempie.



Aidan nie mógł inaczej – choć już od bardzo dawna nie był jednym z nich, nigdy nie odmówiłby ludziom pomocy. Nieważne, co myślał o nich Drake.

Zdawał sobie sprawę, że ludzie potrafią być okrutni i bezlitośni. Potrafią posunąć się do perfidnych rzeczy, nie patrząc przy tym na krzywdę wyrządzaną innym. Wiedział, że nie może osądzać Drake'a za takie, a nie inne nastawienie do śmiertelników. Jakby na to nie patrzeć, ich przodkowie sami sobie na to zapracowali.

Wczoraj, kiedy przechadzał się po uliczkach Południowego Sektora, był świadkiem, jak pewna kobieta błagała tamtejszego znachora o pomoc dla swojego dziecka. Była zrozpaczona i nie miała przy sobie ani jednego gelta, a gdy medyk stanowczo odmówił, padła na kolana, zanosząc się żalonym płaczem. Jej córka od kilku dni miała bardzo wysoką gorączkę i często wymiotowała. Serce Aidana ścisnęło się boleśnie na widok żebrzącej o pomoc kobiety. Od razu, gdy znachor zniknął z pola widzenia, podszedł do ciągle szlochającej matki i położył dłoń na jej kościstym ramieniu. Kobieta wzdrygnęła się wystraszona. Spojrzała w jego karmelowe, lekko skośne oczy, a po chwili przejechała wzrokiem wyżej, zatrzymując go na wielkich skrzydłach, które ciasno przylegały do pleców Aidana.

– Nie obawiaj się mnie – powiedział szybko, zabierając rękę. Nie chciał, by kobieta rzuciła się do ucieczki. – Pomogę ci – dodał półgłosem.

Drake zawsze ostrzegał go przed schodzeniem do południowej części Nestu². Mówił, że prędzej czy później spotka go tam coś złego, istoty takie jak on nie były tutaj bezpieczne. Mieszkańcy Południowego Sektora, w przeciwieństwie do tych z Północnego, nienawidzili ich i nazywali aniołami. Aidan przypuszczał, że głównym powodem były białe skrzydła. Ciekawe, co by pomyśleli, gdyby się dowiedzieli, że ci aniołowie kiedyś także należeli do ludzkiej rasy? To dzięki krwi Inicjan stali się nieśmiertelnymi skrzydlatymi stworzeniami.

– Anioł – wydukała kobieta, oddając Aidanowi niski pokłon, jakby był jakimś bóstwem. – Wybacz, panie – wyszeptwała, drżąc na całym ciele.

Pięści Aidana same się zacisnęły. Nigdy nie podobało mu się to, w jaki sposób jemu podobni traktowali ludzi. Upokarzali ich na każdym kroku, wyśmiewali się z nich, a kiedy tylko przyszła im na to ochota, igrali z ludzkim życiem, jakby było nic niewarte.

– Nie rób tego. – Przyklęknął na jedno kolano, pomagając złkniętej kobiecie wstać. – Nie jestem twoim panem. Nie jestem niczym panem – oświadczył łagodnym tonem. – Pomogę twojej córce – powtórzył, unosząc brodę kobiety, by na niego spojrziała. – Czekaj tu na mnie jutro. Przyniosę coś, co na pewno jej pomoże. Jutro, po rozpoczęciu igrzysk – dodał, uśmiechając się poczekajająco, po czym wzbił się w powietrze.

Westchnął głośno, koncentrując się na terażniejszości. Wrota areny niedawno zostały otwarte, a igrzyska rozpoczęte. Matka, której wczoraj obiecał pomoc, zapewne już na niego czekała. Spojrzał na maleńką szklaną fiolkę, którą trzymał w ręce i się uśmiechnął. Wystarczy kilka kropli soku z owoców Heilkrautu, by uleczyć nawet najgroźniejszą infekcję.

Rozpostarł skrzydła i wzniósł się na nich w kierunku południowej części Gniazda.

Był środek nocy, niewielkie pochodnie oświetlały uliczki, ale głównym źródłem światła był olbrzymi księżyc w pełni. Bezchmurne, usiane gwiazdami niebo sprawiało, że Aidan poczuł kojący spokój w sercu. Uwielbiał obserwować cudowny firmament.

Spojrzał w dół i po chwili dostrzegł znajomą postać. Kobieta rozglądała się nerwowo dokoła, kurczowo splatając ramiona. Delikatny wiatr bawił się jej kręconymi, miedzianymi włosami.

² Nest – Gniazdo w starej mowie (przyp. aut.).

Aidan, nie czekając dłużej, wylądował zaraz obok niej, lecz widząc minę matki schorowanej dziewczynki, poblądł na twarzy.

W następnym momencie wszystko stało się tak szybko, że nie zdążył zrobić nic, by się uratować.

Ktoś wystrzelił strzałę, która boleśnie wbiła się w jego bok. Paru innych mężczyzn zarzuciło na niego solidną sieć, ciągnąc mocno w dół. Napastnicy zbliżyli się raptownie.

Uwięziony Aidan nagle poczuł się senny, a jego kończyny odmówiły posłuszeństwa. Podejrzewał, że grot strzały, którą oberwał, był czymś nasączony. Prawdopodobnie w jego żyłach krążyła już trucizna, skutecznie go obezwładniając.

– Dlaczego? – wykrztusił, spotykając się wzrokiem z kobietą, która go wydała. – Przecież chciałem ci tylko pomóc – wymamrotał, a cienkie strużki łez spłynęły po jego policzkach.

– Za pióra, które sprzedamy, będę mogła wykupić sobie miejsce w Północnym Sektorze – zdradziła bez skrpułów. – Będzie mnie stać na lekarstwa, pożywienie, odzież i wiele innych rzeczy. – Założyła ręce na piersi, patrząc na Aidana z góry. Jej postawa zmieniła się nie do poznania. Nie była już wylęknioną matką, tylko przebiegłą hieną bez serca.

Nagle ktoś dźgnął Aidana ostrą włócznią. Anioł syknął z bólu, ale nie miał sił, by się podnieść i przeciwstawić.

– Trucizna zaczęła działać, możecie zabrać tę sieć – rozkazał postawny łysy typ, przypuszczalnie szef bandy. – Trzeba rozłożyć mu skrzydła. – Skinął na zbirów. – Jego mięśnie powinny być wyraźnie osłabione, w takim stanie nie będzie się stawiał.

Dwójka mężczyzn bezzwłocznie podbiegła do bezbronnego Aidana. Bez wahania chwycili jego skrzydła – każdy jedno – i zaczęli je rozciągać. Przywódca bandytów miał rację: Aidan nie potrafił stawić najmniejszego oporu.

– A teraz, chłopcy, będziecie się niestety musieli trochę wysilić – oznajmił, rzucając jednemu z osiłków wielki topór.

– Proszę, nie – wyskamlął Aidan, czując, że robi mu się niedobrze.

Ponownie spojrzął błagalnie na rudowłosą i tym razem dojrzał iskrę skruchy w jej oczach. Czyżby żałowała swojej decyzji?

– Myślałam, że najpierw go zabijecie – zwróciła się zdezorientowana do przywódcy grupy. – Chyba nie chcecie odrąbać mu skrzydeł żywcem? – zapytała z niedowierzaniem, zerkając co chwile w stronę Aidana.

– Jeśli coś ci nie pasuje, droga wolna – burknął łysy mężczyzna, po czym odchrząknął i splunął na ziemię. – Spierdalaj mi stąd. Tylko nie myśl sobie, że wypłacę ci potem choć jednego gelta. Nie cierpię tchórzostwa.

Kobieta się wzdygnęła, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą. Wciągnęła głęboko powietrze, po czym powoli wypuściła je przez lekko rozchylone usta.

– Nigdzie się nie wybieram – oznajmiła w końcu. – Róbcie z nim, co chcecie – dodała oschle, wpatrując się tępo przed siebie.

Aidan stracił wszelką nadzieję na ratunek. Może gdyby Drake nie wyruszył dzisiaj w nocy za granicę Nestu, miałby choć nikłe szanse na ocalenie życia. Od kiedy skosztował krwi Inicjanina, łączyła go z nim niezwykle więź empatyczna. Drake prawdopodobnie wyczułby, że coś zagraża jego przyjacielowi i niezwłocznie podążyłby z pomocą. Jednak dzielący ich dystans mógł konkretnie osłabić emocjonalne połączenie.

– Najpierw musicie wybić skrzydła z barku. Będzie łatwiej je odciąć – stwierdził przywódca bandy. – Na co czekacie, barany! Do roboty! – ponaglił, wymachując niecierpliwie rękami.

Mężczyzna trzymający prawe skrzydło Aidana skinął głową w kierunku stojących bezczynnie bandytów, którzy od razu do niego dołączyli. Wspólnie złapali za górną część kończyny i brutalnie ją wykręcili.

Aidan nie powstrzymał się od wrzasku. Ogarnął go niewyobrażalny ból.

– Ciągnijcie mocniej! – zawołał jeden z nich.

W następnym momencie coś trzasnęło, a główna kość prawego skrzydła wyskoczyła z barku, przysparzając Aidanowi potwornego cierpienia. Było mu na przemian gorąco i zimno, a mdłości znów się nasiliły. Kręciło mu się w głowie, jakby cały świat nagle zawিrował. Desperacko zaczął modlić się o utratę przytomności.

– Wy trzymajcie, ja będę ciął. – Niewyraźny głos jednego z bandytów trafił do uszu Aidana. Jego powieki się zamknęły, a ciało niekontrolowanie zadrżało.

Chwila ciszy, która wydawała się trwać całe wieki, a później głośny trzask i przesywający na wskroś ból. Ostrze topora raz po raz zatapiało się w mięśniach anioła, odcinając bezwładne skrzydło.



– Nie! – Moon usłyszała męski głos przepełniony cierpieniem. – Nie! – krzyczał ciągle, wyrывая ją z głębokiego snu.

Otworzyła szeroko oczy, a jej serce zatrzymało się na kilka sekund, podchodząc do gardła.

– Przestańcie! – Głos stawał się coraz mniej wyraźny, aż w pewnym momencie przeszedł w bełkot przerywany szlochem.

Dziewczyna zerwała się z łóżka i instynktownie ruszyła w stronę wyjścia. Na stopy wsunęła buty, a na ramiona narzuciła bordową pelerynę. Zanim złapała za klamkę, zawahała się jednak, przypominając sobie wczorajsze słowa Tristana: *nie wychodź dzisiaj w nocy na zewnątrz*.

Przełknęła ślinę, cofając rękę, ale gdy ponownie usłyszała przeraźliwy wrzask, nie wytrzymała. Raptownie otworzyła drzwi i wybiegła na zewnątrz.

Nie musiała się długo rozglądać, by odnaleźć źródło hałasu. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach i przyprawiło o mdłości. Stała jak wryta, na chwilę zapominając o oddychaniu.

Jakieś dziesięć metrów od niej leżał zakrwawiony mężczyzna, a wokół niego krążyła banda podejrzanych typów. Jeden z napastników trzymał w dłoniach okazały topór, trzech kolejnych odkładało na bok olbrzymie skrzydło, a ostatni stał z boku, tylko przyglądając się całemu zajściu ze stoickim spokojem.

Moon zadrżała, cofając się o krok. Pokręciła głową, gdy zdała sobie sprawę, że sumienie nie pozwoli jej zawrócić.

– Przestańcie! – odezwała się piskliwym, ledwo słyszalnym głosem. – Mówię, przestańcie! – krzyknęła w końcu, zaciskając mocno pięści. Miała wrażenie, że powoli zamienia się w kamienny posąg i nie może ruszyć z miejsca. – Zabijecie go!

W okamgnieniu zyskała uwagę wszystkich zebranych. Okaleczony mężczyzna patrzył na nią z przerażeniem, ciężko dysząc.

– Uciekaj – wyszeptał resztką sił, po czym padł twarzą na ziemię.

– Posłuchałbym na twoim miejscu – poradził jeden ze zbirów, łapiąc za jeszcze nieobcięte skrzydło anioła.

Moon rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła nigdzie żywej duszy. Ulice były puste. Większość mieszkańców udała się na igrzy-

ska, by oglądać krwawe walki. Nie było nikogo, kto mógłby pomóc. Jej wzrok powędrował ku górze i zatrzymał się na mocno oświetlonej arenie. Tristan wróci dopiero nad ranem.

– Zostawcie go! – odezwała się ponownie, a po jej policzkach spłynęły łzy.

Nagle ktoś złapał ją w pasie i rzucił obok wykrwawiającego się anioła. Uderzyła boleśnie o twardą powierzchnię, wydając z siebie cichy jęk. Wnet obezwładnił ją czysty strach.

– Skoro tak ci zależy na tej żalostnej kreaturze, może do niej dołączysz? – zakpił szef bandy. – Przyjrzyj się, dziecko! To anioł! Nie zasługuje na nic lepszego! – warknął, brutalnie kopiąc w zębra pół-przytomnego bruneta.

– Kilian! – zawołała nagle jakaś kobieta. Moon dopiero teraz spostrzegła rudowłosą postać. – To jeszcze dziecko – powiedziała, wskazując machnięciem ręki na dziewczynkę. – Nie wie, co robi. Wypuście ją i dokończcie to, co zaczęliście, zanim ktoś nas zobaczy.

Herszt zmrużył oczy, wykrzywając twarz w złości. Najwyraźniej nie spodobała mu się reakcja kobiety.

– Już raz ci coś powiedziałem, Gwen – burknął, przeszywając ją morderczym spojrzeniem. – Chcesz złoto, to trzymaj mordę na kłódkę!

Rudowłosa zacisnęła mocno usta, a jej broda nerwowo zdrząła. Jednak nie protestowała dłużej, tylko posłusznie nieco się oddaliła, spuszczać wzrok.

– Na czym stanęliśmy? – zapytał łysy mięśniak, zbliżając się do przerażonej Moon.

Spanikowana dziewczynka przyczołgała się bliżej anioła. Jej ubranie zdążyło nasiąknąć krwią rannego, lepka posoka barwiła także ręce i włosy Moon.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – wyskamlął anioł, krztusząc się własną krwią. – Pozwól jej odejść... proszę. – Z trudem uniósł wzrok, by spojrzeć rzezimieszkowi w oczy. – Błagam – dodał zdesperowany.

Łysy zbior parsknął śmiechem, jakby ktoś właśnie opowiedział mu dobry żart.

– Anioł, który błaga – powiedział kpiąco. – Patrzcie ludzie! Cuda się jednak zdarzają! – zadrwił, szczerząc żółte zęby, po czym kolejny raz kopnął w bok mężczyzny.

– Upierdolicie mu drugie skrzydło – rozkazał oschłym tonem, a uśmiech zniknął z jego twarzy jak ręką odjął. – Z małą zróbcie, co chcecie, ale nie zostawcie zbyt dużo śladów.



Większość ludzkiej rasy była śmierzącą zarazą, której Drake najchętniej pozbyłby się raz na zawsze. Nie szanowali nawet siebie nawzajem. Był przekonany, że gdyby rzucił worek wypełniony po brzegi złotem w samo centrum Nestu, zgromadziliby się jak szarańcza, zagryzając jeden drugiego, by dostać się do nagrody. Za odpowiednią cenę zabili by swoich pobratymców. Za odpowiednią cenę zrobiliby wszystko.

Lecąc na swoich potężnych skrzydłach, przeczesywał wzrokiem teren. Nest otaczała wąska, ale dość głęboka, sztucznie stworzona rzeka, w której żyły osobliwe stworzenia – krwiożercze humanoidy, wyglądem przypominające mityczne syreny. Ludzie, którzy przeżyli Wielką Wojnę, nie mieli pojęcia o ich istnieniu. Nikt nigdy nie wychodził poza granicę Nestu.

Inicjanin poszybował dalej, w kierunku gęsto zarośniętego lasu. Poranny patrol poinformował go, że kilka fledermausów³ zdołało przedrzeć się przez bór. Drake wątpił, że byłyby w stanie przepłynąć także rzekę i dostać się w rezultacie do Nestu. Tarkeny pożarłyby je żywcem, nie zostawiając nawet kości, co prawda fledermausy posiadały skrzydła, ale nie potrafiły latać. Były bezmyślnymi drapieżnikami kierującymi się pierwotnym instynktem. Dla Inicjanina nie były żadnym zagrożeniem, ale dla całej reszty...

Drake zawisł w powietrzu, trzepocząc czarno-złotymi skrzydłami. Dzięki wyostrzonemu wzrokowi zauważył dwa potwory wyłaniające się z kniei. Nietoperze pyski obracały się to w prawo, to w lewo, badając otoczenie. Ostrożnie podeszły do wody, ale nie odważyły się zamoczyć, jakby wyczuły zagrożenie.

Delikatny wiatr musnął twarz Inicjanina. Srebrzące się kosmyki włosów przysłoniły mu na moment wyjątkowe turkusowe oczy.

³ Fledermaus (z niem. *die Fledermaus* – nietoperz) – bestia, zmutowany wampir (przyp. aut.).

Napiął mięśnie, a pióra na jego skrzydłach automatycznie się zaostrzyły. Karambity, które trzymał w dłoniach, zaślniły w blasku księżyca. Uwielbiał te niepozorne noże charakteryzujące się odwróconą rękojeścią z otworem na palec wskazujący.

Wciągnął w płuca haust świeżego powietrza, a w następnym momencie zaatakował pierwszą z bestii niczym jastrzęb. Przeciął powietrze, pikując, następnie wylądował na niczego niespodziewającej się maszarce, obejmując jej szeroką, mocno umięśnioną szyję, po czym bez wahania gwałtownie rozsunął ręce na boki, podrzynając stworowi gardło. Krew trysnęła z otwartej arterii, a zraniony fledermaus padł po kilku sekundach na ziemię.

Dwa kolejne wygłodniałe potwory ruszyły na Drake'a, lecz ten wykonał obrót, rozkładając przy tym skrzydła. Ostre lotki rozcięły brzuch jednej z bestii, uwalniając wnętrzności. Druga zdążyła w ostatnim momencie się odsunąć, ale ponowne zamachnięcie skrzydeł przypieczętowało także jej los.

Z gęstego lasu wyłoniły się jeszcze trzy monstra. Z ich pysków ściekała gęsta ślina, a czerwone ślepia zatrzymały się na skąpanym we krwi Inicjaninie. Zawarczały gniewnie, następnie zaatakowały, otwierając uzbrojone w kły szczęki i wyciągając szpony.

Drake ścisnął mocniej rękojeści karambitów i ruszył gwałtownie z miejsca. Gdy był zaledwie kilka centymetrów od rozwścieczonych stworzeń, wbił się lekko w powietrze, lądując za ich plecami. Skrzydła poruszały się ze zdumiewającą precyzją, tnąc cielska fledermausów. Ostrza noży, przypominające szpony tygrysa, dopełniały czynu, rozcinając ścięgna i tętnice.

Ciepła krew spływała po tunice Drake'a, która przyłgnęła do ciała, zmieniając się w lepki całun. Do nozdrzy Inicjanina trafił metaliczno-słodki zapach. Ryki i wycie potworów w końcu ustały, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum wiatru, który subtelnie poruszał gałęziami drzew. Drake przymknął powieki i odechnął głęboko.

Nagle poczuł nieprzyjemne ukłucie w sercu i otworzył szeroko oczy. Jego oddech przyspieszył nieznacznie, a szczęki kurczowo się zacisnęły. Nie czekając ani chwili dłużej, wbił się w powietrze, zostawiając za sobą truchła bestii.

Leciał tak szybko, jak tylko mógł. Nie wybaczyłby sobie, gdyby Aidana spotkała śmierć. Tyle razy ostrzegał go przed ludźmi. Tyle razy próbował wybić mu z głowy te głupie pomysły. Nie potrafił

zrozumieć, dlaczego po tak długim czasie jego przyjaciel ciągle czuł się odpowiedzialny za te pozbawione serca kreatury. Pomagał im na każdym kroku, doskonale wiedząc, że żadne z nich nie będzie za to wdzięczne. Prędeż napluliby mu w twarz, wbijając nóż w plecy, i pozbawili głowy.



Moon, choć zdawała sobie sprawę, że i tak nikt jej nie wysłucha, modliła się w duchu o pomoc. Błagała, by ktoś... ktokolwiek... przybył i uwolnił ją z rąk bezlitosnych zbirów.

Leżąc na ziemi, spojrzała załzawionymi oczami w stronę anioła. Dziwiła się, że jeszcze nie zemdłał. Widziała strach wypisany na jego twarzy – zdumiewająco ludzkiej twarzy. Jego usta poruszały się, niemo formując słowo: *przepraszam*. Ale to przecież nie on powinien przepraszać. To nie on brutalnie ją napastował, chcąc zgwałcić.

Skupiła się na bursztynowych oczach anioła, by odgonić myśli od rąk napastników. Jeden mężczyzna przytrzymał jej nogi, by nie wierzgała, a drugi ręce, by nie mogła się bronić. Trzeci niecierpliwie rozsznurował jej spodnie. Przerazenie spotęgowało się, gdy brutalnie za nie szarpnął, odsłaniając nagie uda.

Przywódca bandy nie ruszał się z miejsca. Stał z założonymi na piersi rękami i obserwował swoich ludzi bez jakichkolwiek emocji. Rudowłosa kobieta opuściła ich chwilę temu. Zapewne nie mogła znieść myśli, że jej kompani nie zawahają się nawet przed zgwałceniem nieletniej dziewczynki.

Dwóch pozostałych typów wyłamywało skrzydło anioła. Gdy kość wypadła ze stawu, wykrwawiający się mężczyzna jęknął głośno, zaciskając mocno powieki. Napastnicy, nie zważając na jego cierpienie, kontynuowali swoje dzieło, odrabując toporem piękne skrzydło.

Zmasakrowany anioł nieoczekiwanie wyciągnął rękę do Moon, jakby chciał resztką sił dodać jej otuchy... Jakby ciągle wierzył, że może ją jeszcze ocalić.

Dziewczyna bez wahania ścisnęłaby jego dłoń, gdyby tylko mogła. Może wtedy poczułaby się choć trochę bezpieczniej. Może choć na kilka sekund przestałaby drżeć.

Szorstkie palce przejechały po jej skórze. Zamarła, zamieniając się w drewnianą lalkę. Śmierć byłaby w tym momencie wybawieniem. Pragnęła śmierci...

Nagle poczuła silny podmuch, który rozwiął piach, zmuszając ją do zakasłania. W następnej chwili coś ciężkiego spadło na ziemię, przyciągając uwagę całej bandy rzezimieszków.

– Drake – wyszeptał anioł, uśmiechając się z trudem.

Mężczyźni przytrzymujący Moon niespodziewanie się od niej odsunęli. Dziewczyna poczuła ulgę i natychmiast podciągnęła spodnie, po czym przyczołgała się do anioła, którego również zostawiono w spokoju.

Coś nie pozwalało jej wstać i najzwyczajniej w świecie uciec. Nie wiedząc czemu, chciała się upewnić, że ranny anioł przeżyje. Pokiereszowany podniósł się mozolnie, opierając ciężar ciała na łokciach. Z kieszeni spodni wyciągnął maleńką fiolkę. Spojrzał Moon prosto w oczy i wręczył jej szklaną buteleczkę.

– W tamtym domu – wystękał, skinąwszy ręką w kierunku jednej z chat – mieszka chora dziewczynka. To jej pomoże.

Moon nie wierzyła własnym uszom. Ten anioł, po wszystkim, co go spotkało, chciał pomóc ludzkiemu dziecku? A może...

– To nie jest trucizna – wymamrotał z trudem, jakby właśnie odczytał jej myśli.

Otworzył fiolkę i przystawił ją do spierzchniętych ust. Wziął maleńki łyk, po czym ponownie wręczył ją dziewczynie, która tym razem natychmiast schowała buteleczkę do wewnętrznej kieszeni peleryny.

– Twoje skrzydła...

Jej wypowiedź przerwał krzyk mężczyzn. Moon momentalnie odwróciła się od anioła, szukając wzrokiem źródła hałasu.

Dopiero teraz doszło do niej, że to, co spadło kilka minut temu z nieba, prawdopodobnie uratowało jej życie.

– Nie obawiaj się – wyszeptał anioł, kładąc się ponownie na ziemi. – Dzisiaj jesteś już bezpieczna. – Zamknął oczy, oddychając z ulgą.

Dziewczyna podniosła się ostrożnie. Powolnym krokiem poszła w stronę, skąd dobiegały krzyki. Zbliżyła się do ściany swojego domu, następnie zaczęła posuwać się bezszelestnie wzdłuż muru.

Gdy dostrzegła potężne czarne skrzydła, których pióra wydawały się ozdobione złotem, wzdrygnęła się mimowolnie. Przełknęła nerwowo ślinę, zbliżając się o jeszcze parę kroków.

Pierwszy raz w życiu widziała anioła, którego skrzydła nie były białe. Jej wybawca był bardzo wysoki i dobrze zbudowany. Stał tyłem do niej, więc nie widziała jego twarzy, a na głowie miał kaptur, który stanowił część długiego, lekkiego płaszcza.

– Nie zasługujecie nawet na to, bym własnoręcznie poderznął wam gardła – odezwał się. Jego głos był lekko zachrypnięty i, mimo ostrego tonu, melodyjny.

Moon, nie powstrzymując ciekawości, wychyliła się jeszcze trochę, by dostrzec grupkę mężczyzn torturujących wcześniej bezbronnego anioła. Niespodziewanie wyciągnęli noże i rzucili się na siebie niczym dzikie bestie. Byli jak opętani. Zarzynali się nawzajem, nie zważając na to, że jeszcze kilka sekund temu byli kompanami. Przywódca bandy złapał swojego koleżkę za fraki, następnie zaczął tłuc jego głową o ścianę domu Moon. Uderzał i uderzał, aż czaszka tamtego pękła, a kawałki mózgu zmieszane z krwią ozdobiły mur chaty. Kałuża gęstej czerwonej posoki rosła pod nimi błyskawicznie. Grabieżcy padali jeden po drugim, dławiąc się własną krwią, a tajemniczy anioł splunął z odrazą w ich kierunku, po czym odwrócił się raptownie i, nie zwracając uwagi na Moon, pobiegł szybko do bruneta, któremu obcięli skrzydła.

Padł na kolana. Ściągnął jedną rękawiczkę, po czym przyłożył do wewnętrznej części dłoni charakterystycznie zakrzywiony nóż. Szybkim, zdecydowanym ruchem przeciął skórę, a z rany wyciekła szkarłatna krew. Wziął swego przyjaciela w ramiona, przykładając zranioną rękę do jego ust.

– Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz? – syknął równocześnie zezłoszczony i zatroskany. – Uparty głupcze – dodał przez zaciśnięte zęby.

Ranny anioł zaczął posłusznie pić krew, która najwyraźniej miała lecznicze działanie.

Ludzie niewiele wiedzieli o aniołach i wampirach, a większość ich wiedzy opierała się na dawnych legendach i wierze. Moon nigdy nie słyszała o tym, że krew tych skrzydlatych istot potrafi uzdrawiać. Możliwe, że gdyby ludzie mieli o tym pojęcie, martwi już łupieżcy nie poprzestaliby na odcięciu skrzydeł anioła. Prawdopodobnie znaleźliby sposób, by wytoczyć z niego całą krew.

– Ty! – warknął nagle tajemniczy przybysz, wyrwijąc Moon z rozmyślań.

Zanim dziewczyna zdołała zareagować, stał już tuż przed nią, przystawiając jej nóż do gardła. Nos i usta skrzydlatego mężczyzny schowane były za materiałową maską, dziewczyna widziała tylko jego oczy. Wyjątkowe, turkusowe oczy, oprawione gęstymi, długimi rzęsami.

– Nie, Drake! – Stanowczy głos rannego anioła powstrzymał za-kapturzonego nieznajomego od odebrania życia Moon. – Ona do nich nie należy – wyjaśnił, a jego głos nie był już przepełniony cierpieniem i zmęczeniem. – Próbowała ich powstrzymać – dodał zadowolony.

Zamaskowany mężczyzna powoli opuścił rękę trzymającą nóż. Moon nie ośmieliła się jednak ruszyć.

– Lepiej? – zapytał swojego przyjaciela, nie odrywając wzroku od dziewczyny. – Twoje skrzydła...

– Moje skrzydła nie mają większego znaczenia, Drake. Kiedyś żyłem bez nich i też dawałem radę. Nie jestem Inicjaninem. Nie jestem jak ty – oznajmił, a gdy Moon usłyszała ciche kroki, wiedziała, że właśnie się do nich zbliża.

– Dlaczego? – Ciemnoskrzydły zwrócił się do ciągle zszokowanej dziewczyny.

– Dlaczego co? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Jej głos drżał i był ledwo słyszalnym szelestem.

– Dlaczego chciałeś mu pomóc? – sprostował. – To anioł – przypomniał twardo, przyglądając się jej podejrzliwie.

– Ponieważ wierzę w to, że nie wszyscy aniołowie są źli – powiedziała, wprawiając go w jeszcze większe zmieszanie. – Tak jak nie wszyscy ludzie są dobrzy – dodała bez wahania.

Anioł zamrugał kilka razy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Odsunął się o krok, oddychając głęboko, po czym rozłożył skrzydła i wyrwał jedno z czarnych, połączonych piór. Bez uprzedzenia złapał Moon za nadgarstek i przyłożył pióro do wewnętrznej strony jej przedramienia.

– Gdy będziesz kiedyś potrzebowała pomocy – zaczął, a pióro niespodziewanie zamieniło się w tatuaż zdobiący jej śniadą skórę. – Zawołaj mnie, choćby w myślach – oznajmił, a czarne linie tatuażu przybrały złotą barwę, po czym całkowicie znikły. – Drake Initium Invictus.

ROZDZIAŁ 1

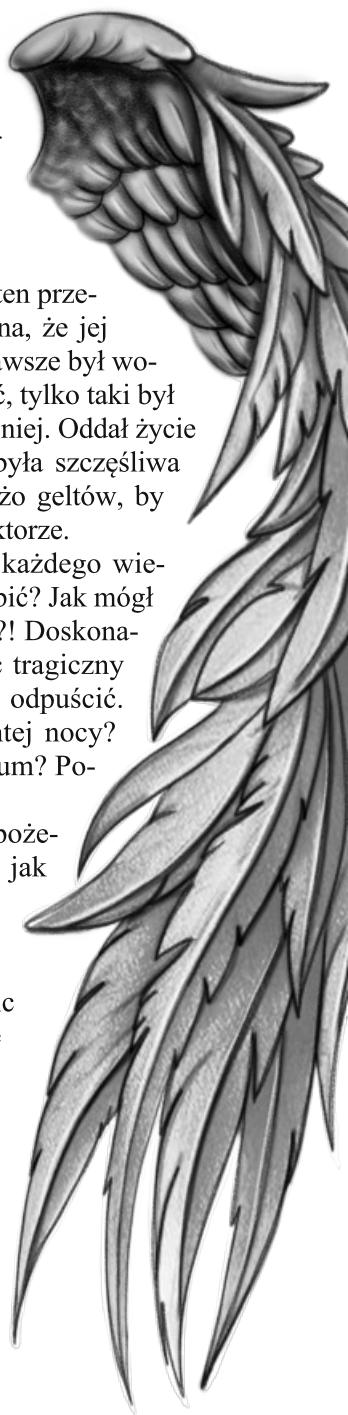
Minęło dziesięć lat, a Moon nadal czuła tamten przesywający na wskroś ból. Była przekonana, że jej brat nie zasłużył na taki los. Nieważne, że nie zawsze był wobec niej szczery, jego kłamstwa miały ją chronić, tylko taki był ich cel. Tristan zawsze robił wszystko z myślą o niej. Oddał życie na arenie, ponieważ pragnął, by jego siostra była szczęśliwa i bezpieczna. Chciał zarobić wystarczająco dużo geltów, by móc wykupić dla nich miejsce w Północnym Sektorze.

Tęskniła za bratem tak bardzo, że niemal każdego wieczoru szlochała w poduszkę. Jak mógł jej to zrobić? Jak mógł być tak głupi i nie posłuchać ostrzeżeń Laveny?! Doskonale wiedział, że walka z wampirem może mieć tragiczny skutek. To nie były przelewki. Powinien był odpuścić. Dlaczego musiał przekroczyć próg areny tamtej nocy? Czyżby w tamtym momencie odebrało mu rozum? Postradał zmysły?

Najgorsze było to, że nie mogła się z nim pożegnać. Nie dostała szansy, by powiedzieć mu, jak bardzo go kocha i ile dla niej znaczy. Nie było jej dane ostatni raz wziąć go w ramiona i poczuć jego ciepło.

Nie oddali jej nawet ciała. Podobno prawie nic z niego nie zostało. Lavena nie podzieliła się w liście do Moon wszystkimi szczegółami, ale dziewczyna doskonale wiedziała, że wampir prawdopodobnie rozszarpał jej brata na strzępy.

Poczuła przyływ pełnych gniewu myśli. Tristan mówił, że zawsze będzie przy niej. Obiecował, że nigdy nie zostawi jej na pastwę losu. Perfidny kłamca! Przecież złoto to nie wszystko. Za złoto nie można kupić życia.



Westchnęła, czując delikatny powiew wiatru na twarzy. Nie, to nie miało sensu. Ciągłe rozmyślanie o przeszłości do niczego jej nie zaprowadzi. Potrząsnęła energicznie głową, skupiając się na teraźniejszości.

Szła jednostajnym, miarowym krokiem, nie rozglądając się na boki. W tłumie zauważyła w końcu znajomą twarz, ale nie dała tego po sobie poznać. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że idący w jej kierunku mężczyzna ma z nią cokolwiek wspólnego.

Matthew, średniego wzrostu osiłek, którego wielkie, czarne oczy przypominały dwa błyszczące się węgle, należał do rebeliantów i był synem Brama, ich przywódcy. Odkąd Moon trafiła pod skrzydła Shany, ukochanej Brama, Matthew stał się jej najlepszym przyjacielem. Rzadko pokazywali się razem publicznie, ale częste spotkania w piwnicy domu jednego z buntowników wystarczyły, by zacieśnić ich relację.

Gdy zetknęli się ramionami, niby przypadkiem, Matthew szybkim ruchem przekazał jej małą kartkę zawierającą tajną wiadomość. Żadne z nich nie zatrzymało się choćby na sekundę. Przeszli obok siebie, jakby w ogóle się nie znali.

Moon przyspieszyła kroku w kierunku swojej chaty. Odkąd zabrakło Tristana, dom był tak przerażająco pusty. Cisza wypełniała każdy kąt, doprowadzając ją czasami do szału. Kiedyś śmiała się tutaj razem z bratem, prowadziła z nim długie rozmowy i urządzała zabawy, zapominając o wszystkich troskach. Wstrząsające, że niektóre wspomnienia nadal są tak świeże, podczas gdy inne odchodzą w zapomnienie w okamgnieniu.

Zamknęła za sobą drzwi. Zdjęła buty i płaszcz, po czym padła zmęczona na łóżko. Odetchnęła głęboko, rozwinęła zgniecioną kartkę i spojrzała na jej treść.

Rebelianci przekazywali sobie wiadomości zapisywane na małych świstkach. Większość ludzi nie znała alfabetu, nie wspominając już o czytaniu i pisaniu. Tylko nieliczni posiadali te umiejętności. Moon, dzięki Tristanowi, należała do tych szczęśliwców.

*Dziś o północy,
Kryjówka lisa.*

Kryjówką lisa określano piwnicę w domu Nory, żony rebelianta zamordowanego przez członków gangu Krwiożerców. Kobieta miała już swoje lata, ale jej duch walki był zdumiewająco silny.

Moon przypuszczała, że pięćdziesięciolatka bez problemu pozamiatałaby podłogę niejednym młodzieniaszkiem uważającym się za dobrego wojownika. Dawała dziewczynie świetne rady, dzięki którym jej umiejętności walki wręcz zdecydowanie się polepszyły.

Moon wstała i podeszła do kominka, w którym tlił się ogień. Spaliła kartkę, następnie poruszała polana pogrzebaczem i dołożyła kolejne.



Aidan stał oparty o balustradę balkonu i obserwował, jak piątka anielskich zwiadowców leci w jego stronę. Ich białe skrzydła poruszały się z niezwykłą gracją. Broda Aidana zadrżała, a po policzku spłynęła łza. Nigdy nie przyznałby tego na głos, ale tęsknił za lataniem. Tęsknił za tym niepowtarzalnym uczuciem, gdy wznosił się wysoko ponad chmury i zapominał o wszystkim, co złe.

Na krótką chwilę przymknął powieki. Odkąd pozbawiono go skrzydeł, nie odważył się postawić stopy na południowym terytorium Gniazda. Niemal każdej nocy widział w koszmarach twarze ludzi, którzy zgotowali mu ten potworny los. Za każdym razem, gdy zasypiał, śnił, że znów jest obezwładniony i upokorzony.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Wzdrygnął się, bo nie usłyszał nadchodzącej osoby.

– Wszystko w porządku? – zapytał Drake.

Bezskrzydły anioł wyprostował się, odwracając do przyjaciela. Uśmiechnął się lekko, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że nie potrafi ukrywać emocji tak dobrze jak Drake. Dla Inicjanina był otwartą księgą.

– Jest... znośnie – wymamrotał, zakładając ręce na piersi. – Tak znośnie, jak tylko może być.

Przesunął wzrokiem po postaci Drake'a. Potężne, czarne skrzydła były ukryte. Inicjanie potrafili je w każdej chwili schować w taki sposób, że jedynym znakiem, który świadczył o ich istnieniu, był tatuaż na plecach – mieniące się złotem linie widoczne tylko dla członków tej rasy. Jego oczy były czarne jak obsydian, lecz zmieniły barwę na turkusową, gdy Inicjanin przybierał swoją prawdzi-

wą postać. Ze schowanymi skrzydłami można było go wziąć za zwyczajnego człowieka.

– Wiesz, że mógłbym ich wszystkich zabić – powiedział Drake tak spokojnie, jakby mówił o pogodzie. – Nie zasługują na to, by oddychać tym samym powietrzem co my. Nie są tacy, jak ich przodkowie. Nędzne robaki...

– Ja także jestem człowiekiem – oznajmił Aidan, odrywając wzrok od przyjaciela. – Mimo twojej krwi zawsze nim będę. Mnie także byś zabił? – zapytał, obserwując lądujących zwiadowców.

Aniołowie, jak nazywali ich ludzie, pokłonili się nisko przed Drake'em. Mieli na sobie zbroje, które idealnie przylegały do ich umięśnionych ciał. Dzięki gotowaniu skóry w wosku z dodatkiem pyłu kwiatów Federry były lekkie i bardzo wygodne, ale równocześnie mocne i odporne na ataki.

– Panie... – zaczął jeden z nich, nie odważając się spojrzeć Drake'owi w oczy.

– Po waszych minach wnioskuję, że miałem rację – wtrącił Inicjanin, odwracając się do nich tyłem. Zaciśnął zęby, uwydatniając mięśnie żuchwy. – Jakim cudem zdołała się uwolnić? – zapytał, a jego prawa powieka zadrżała nerwowo. – Waszym zadaniem było jej pilnować! Nawet nie wiecie, do czego jest zdolna!

Aidan położył dłoń na ramieniu przyjaciela, próbując dodać mu otuchy. Sam jednak był przerażony. Keira została obezwładniona przez Drake'a i uwięziona na Wyspie Wiecznego Ognia tysiące lat temu.

– Panie, Rowan zawsze wysyła swych najlepszych ludzi...

– Milcz – przerwał mu Inicjanin, unosząc dłoń odzianą w czarną rękawiczkę. – Z Rowanem sam sobie porozmawiam. A teraz wyńcha! – W jego głosie zabrzmiała groźba.

Aniołowie natychmiast wzbili się w powietrze, lecąc w stronę jednej z trzech pozostałych wież.

– To nie wygląda dobrze – podsumował zszokowany Aidan. – Twoja matka...

– Nie nazywaj jej tak – warknął Drake. – Ta żmija nigdy nie była moją matką. Wydała mnie tym sadystycznym świniom bez mruknięcia okiem.

Aidan przełknął ślinę. W rzeczy samej Keira była podstępna i przebiegłą kobietą idącą po trupach, by osiągnąć cel. To, co zrobiła Drake'owi, odcisnęło na nim piętno. Możliwe, że serce Inicjanina

nie byłoby w takim stopniu przepelnione nienawiścią, gdyby nie zdrada jego matki.

– Bez skrzydeł musiałaby przepłynąć morze – stwierdził Drake, tym razem spokojnie. – Tarkeny pożarłyby ją żywcem. Nie rozumiem, jak wydostała się z wyspy, nie zwracając na siebie uwagi. Nie widzę możliwości, by samodzielnie uwolniła się z łańcuchów, wyszła z groty i dotarła do brzegu. Nie wspominając już o przepłynięciu wody.

– Sądzisz, że ktoś jej pomógł? – Aidan poczuł jeszcze większy niepokój.

– Jestem o tym przekonany – odpowiedział Inicjanin, zaciskając mocno pięści. – Ale nie mam pojęcia, kto był na tyle głupi. Nikt poza tobą i mną nie widział jej nigdy na oczy. Minęło mnóstwo czasu, odkąd ją uwięziliśmy i wszyscy jej sojusznicy od dawna nie żyją. Myślisz, że to możliwe, że ktoś z rodu ludzi, których Keira poczęstowała swoją krwią, zdecydował się jej pomóc?

– Jak już wspomniałeś, upłynęło wiele lat. Śmiem wątpić, że mieszkańcy wiedzą cokolwiek o czasach sprzed Wielkiej Wojny. – Założył włosy za uszy, po czym poprawił wysoki kołnierz. – Co chcesz zrobić? – zapytał niepewnie, zerkając na niewzruszonego przyjaciela.

– Muszę ją czym prędzej odnaleźć i zaprowadzić tam, gdzie jej miejsce. – Drake odpowiedział bez wahania.

Pierwsi Inicjanie byli nieśmiertelni, więc zabicie Keiry było niemożliwe. Drake mógłby ją rozczłonkować, ale nawet to nie przyniosłoby żadnego efektu. Byli niczym feniksy, odradzali się choćby z popiołu. Można było ich zgnieść na miazgę, spalić, a proch rzucić na wiatr – oni zawsze powstawali.

– Mam wysłać zwiadowców? – zapytał Aidan.

Drake pokręcił stanowczo głową. Jego oczy zmrużyły się zło-wrogo, a rysy twarzy się wyostrzyły.

– Nie zaufam pierwszym lepszym mieszkańcom – oznajmił twardo. – Każdy z nich może stać po stronie Keiry. Krąży w nich jej krew.

Matka Drake'a, w przeciwieństwie do niego, nie żałowała swojej krwi. Ochoczo częstowała nią ludzi, zamieniając ich w swoich oddanych wojowników. Istoty, nazywane przez śmiertelników aniołami, były tylko potomkami głupców, którzy oddali wolną wolę w zamian za długowieczność i skrzydła.

– Chyba nie chcesz robić wszystkiego sam? – Aidan spojrzał prosto w oczy przyjaciela, ale to, co w nich zobaczył, nie zwiasto-

wało niczego dobrego. – Pozwól sobie pomóc. Mnie możesz zaufać – zapewnił, dotykając otwartą dłonią piersi.

Aidan był jedynym mieszkańcem powstałym z krwi Drake’a. Nigdy by go nie zdradził, nigdy nie wbiłby mu noża w plecy, prędzej oddałby za niego życie. Był także przekonany, że jego odczucia nie są jedynie imaginacją wynikłą z więzi pomiędzy nimi. Jeszcze zanim zakosztował krwi Inicjanina, był mu całkowicie oddany. Połączyła ich prawdziwa przyjaźń i właśnie ona była głównym czynnikiem stojącym za decyzją Drake’a.

– To, że jesteś długowieczny, nie oznacza, że jesteś nieśmiertelny – przypomniał mu Inicjanin. – Tutaj jesteś bezpieczniejszy.

Bezpieczniejszy, ale nie bezpieczny. Na jednej z czterech baszt muru obronnego był rzeczywiście bezpieczniejszy niż poza granicami Gniazda. Skrzydła nie były mu potrzebne, by obronić się w razie ataku innych mieszkańców. W jego organizmie krążyło o wiele więcej krwi inicjańskiej niż w nich wszystkich razem wziętych. Był silniejszy, szybszy, zwinniejszy.

– Odszukanie jej będzie trudniejsze, niż znalezienie igły w stogu siana – stwierdził Aidan.

– Wiem. – Drake przyznał mu rację. Pojedyncze kosmyki opadły mu na twarz, gdy się pochylił. – Najpierw muszę się udać do Tode-swaldu. Magia krwi mnie poprowadzi. – Ostatnie zdanie wypowiedział szeptem.

– Drake! – Aidan popatrzył na swojego przyjaciela z trwogą, pozwoli kręcąc głową. – Stąpasz po kruchym lodzie. Magia krwi zawsze wymaga ofiar – ostrzegł go.

– Widzisz inne wyjście? – Brwi Inicjanina uniosły się wysoko. – Bo ja nie. – Spojrzył w bezchmurne niebo. Odetchnął głęboko, zamykając na chwilę powieki. Długie rzęsy rzuciły cień na wyraziste kości policzkowe. – Keira nie spocznie, dopóki mnie nie zniszczy i nie przejmie władzy. Już kiedyś jej się to udało. Obaj pamiętamy, czym się to skończyło. Wiem, co robię. Możesz mi zaufać.



Tristan do dziś pamiętał proces przemiany sprzed dziesięciu lat. Pamiętał ból, gdy mutujący wampir wgryzał się w jego ciało, wyszarpując kawałki mięsa. Pamiętał strach, gdy słyszał odgłosy mlaskania, przeżuwania i łkania. To potworne uczucie, gdy ostre zęby wbijały się w jego organy, bezlitośnie je wrywając. Chciał wtedy krzyczeć, lecz dławił się własną krwią. Pragnął walczyć, ale nie był w stanie nawet się poruszyć. Mógł tylko rejestrować każdy szczegół.

Tamtej nocy po raz pierwszy gorliwie się modlił. Błagał niebiosa, by w końcu pozwoliły mu umrzeć, błagał, by jego gehenna wreszcie się skończyła. Nie był jednak zdziwiony, że nikt nie odpowiedział na modlitwę.

Wtedy poczuł coś, co miało na zawsze odmienić jego życie. Ogarnęła go niewytłumaczalna pustka, a w następnej chwili tak wielki natłok emocji, że nie mógł sobie z nimi poradzić. Jego zmysły wyostrzyły się, a serce nagle przestało bić. Możliwe, że nie było w tym nic dziwnego – przecież właśnie umierał – lecz jego umysł ciągle był aktywny.

Później doszedł ten zapach. Słodki, magnetyczny, uwodzicielski. Taki, któremu nikt nie mógłby się oprzeć. Następnie smak. Obezwładniająca jego kubki smakowe ambrozja zdawała się mieć moc niezwykle silnego narkotyku. Najpierw zakosztował jej powściągliwie, lecz zaledwie ułamek sekundy później łapczywie chłonał każdą kroplę tego rozkosznego nektaru. Był jak w transie. Nie miał pojęcia, co tak właściwie pije ani jakie będą tego konsekwencje. Znajdował się w cudownym stanie nieważkości i nic więcej nie miało znaczenia, nic więcej się nie liczyło.

Pamiętał wściekłość, gdy źródło jego pożywienia nieoczekiwanie zniknęło. Nie mógł zapanować nad własnym ciałem, a jego kończyny drżały niepohamowanie. Obraz był zamazany i ciągle migał. Wszystko się kręciło, wszystko się trzęsło. Nie rozumiał słów, jakie do niego wypowiedano. Nie pojmował, co się z nim działo.

Ktoś zawlókł go do jakiejś celi i zamknął za grubymi kratami, po czym wyszedł, zostawiając samego.

Czuł głód i pragnienie. Ciągle było mu mało. Lepka substancja, która tak bardzo go od siebie uzależniła, zaczęła piec, rozchodząc się po jego ciele. Była jak kwas. Skóra zaczęła skwierczeć jak roztopiające się masło. Rozpuszczały się palce, dłonie i usta. Cierpienie przyprawiało go o łzy. Charczał, dusząc się i wijąc od narastającego bólu. Cały przelyk palił od środka, jakby ktoś wrzucił tam żarzące się wę-

gle. Zaczął wymiotować własną krwią. Wył i ryczał z bólu, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że bez wahania ponownie zachłysnąłby się tym smakołykiem, nie zważając na przykre konsekwencje.

Przestał myśleć o przeszłości i przyszłości. Chciał po prostu przeżyć... albo wreszcie umrzeć. Byleby tylko poczuć ulgę.

Powoli zaczął zauważać zmiany w swoim ciele. Przestał postrzegać rzeczywistość tak, jak kiedyś. Ból już prawie w ogóle mu nie doskwierał.

Niewiele czasu minęło, nim wypadły mu wszystkie zęby, a w ich miejsce wyrosły ostre kły. Ciało stało się o wiele twardsze i silniejsze niż przedtem. Rany zupełnie się zagoiły, nie pozostawiając żadnej blizny. Zdziczał. Przepelniła go nienawiść i był gotowy zabić każdego, kto wtargnie na jego teren.

Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim w jego celi pojawił się On – dostojny anioł, którego zniewalający zapach powalił Tristana na kolana.

– Należysz do mnie – oznajmił przybysz władcym tonem, nie racząc nawet spojrzeć na chłopaka, a twarz wykrzywił mu grymas okrutnej satysfakcji. – Od dzisiaj nazywać się będziesz Evan. Jesteś moim sługą i spełnisz każdą moją zachciankę. Twoje dotychczasowe życie przestało istnieć. Jeśli nie chcesz skończyć tak, jak twój przeciwnik, nie radzę mi się przeciwstawiać.

Tristan przełknął nerwowo ślinę, przypominając sobie o tragicznej walce stoczonej na arenie. Mutujący wampir nie posiadał w sobie nawet namiastki człowieczeństwa. Był wygłodniałą, dziką bestią.

Wzdrygnął się. Nie było mu zimno, już od dawna przestał odczuwać zmiany temperatur. Był po prostu przerażony. Nie wiedząc czemu, dopiero teraz dotarło do niego, co tak właściwie się stało.

Tristan umarł. W dniu igrzysk został brutalnie zabity przez nieokielznaną bestię.

– Powstałeś z mojej krwi – przypomniał mu anioł, jakby czytał w jego myślach. – To moja krew utrzymuje cię przy życiu. – Znów się uśmiechnął i w tym momencie przypominał bardziej diabła niż anioła.

Tristan otworzył spierzchnięte usta, lecz nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku, zamknął je natychmiast, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Jestem Rowan, generał gwardii anielskiej. – Anioł przedstawił się dumnie, rzucając w stronę Tristana przelotne spojrzenie. – Je-

stem twoim panem – zagrzmiał, prostując się jeszcze bardziej i poruszył skrzydłami.

Tak, Rowan stał się jego panem. Od chwili, gdy Tristan zakosztował jego krwi, stracił wolną wolę. Ludzie nie wiedzieli wszystkiego o aniołach i wampirach, ale na tyle wystarczająco, by chłopak był świadomy sytuacji, w jakiej się znalazł.

Nie myśląc nad tym, co robi, powstał, chcąc wyprostować obolałe kręgosłup.

– Na kolana – rozkazał surowo generał, zakładając ręce na piersi.

Jakaś tajemnicza siła popchnęła Tristana w dół. Padł na kolana, płaszcząc się przed Rowanem niczym robak. Gdyby anioł tego zażądał, wyczyściłby nawet jego ubłocone buty własnym językiem.

– Panie – wychrypiał, nie poznając własnego głosu.

– Umyjcie go, ubierzcie w coś czystego i podajcie świeżą krew – polecił swojej służbie, której Tristan wcześniej nie zauważył. – Kiedy będzie gotowy, wyślijcie go do mojej komnaty – skończył, wychodząc z ciemnych lochów.

Chłopak podniósł się dopiero wtedy, gdy kroki pana całkowicie ucichły. Był roztrzęsiony i zdezorientowany. Jego przeszłość... Coś kazało mu nie zawracać sobie nią głowy. Domyślał się, że słowa pana miały z tym wiele wspólnego. Pan nakazał mu zapomnieć o dotychczasowym życiu, więc dlaczego miałby tego nie uczynić? W odczuciu Tristana pan był dobry, wspaniałomyślny i miłosierny.



Evan – to imię zdawało się idealnie do niego pasować. Tristan odszedł w niepamięć, a wraz z nim cała przeszłość. Evan był kimś... Czymś zupełnie innym. Był jednym ze sług Rowana. Wypełniał wszystkie jego rozkazy. Pan powiedział, że wybrał go, dostrzegając jego potencjał. Stwierdził, że jak na człowieka posiada prawdziwy talent do walki. Chciał mieć go po swojej stronie, a dzięki krwi pana, Evan stał się długowieczny, silniejszy i o wiele szybszy. Jednak medal zawsze ma dwie strony. Ceną za te niezwykle dary było absolutne posłuszeństwo Rowanowi oraz uzależnienie od krwi na całe życie.

– Chcę, byś doglądał igrzysk – oznajmił pan, bawiąc się sztyletem ze złotą, bogato zdobioną rękojeścią. Siedział wygodnie rozparty w wielkim fotelu i wyglądał na zaniepokojonego, choć próbował ukryć ten fakt przed sługą. – Zanoszę się na to, że będę w najbliższym czasie zajęty. Nie ufam Sedricowi – przyznał, po czym podrzucił sztylet i sprawnie go złapał. – Nie spuszczać go z oczu. Podczas mojej nieobecności ma nie wprowadzać żadnych urozmaiceń – nakazał surowo.

Evan wiedział, że pan, mówiąc o urozmaiceniach, miał na myśli wpuszczanie na arenę fledermausów. Zwyczajni ludzie nie byli w stanie zapanować nad tymi potworami. Dorosły osobnik mógł uśmiercić nawet anioła, dlatego Rowan był niezmiernie ostrożny, gdy wprowadzał na arenę te stworzenia.

– Wedle życzenia, panie – powiedział wampir, kłaniając się nisko.

Zastanawiał się, dokąd wybiera się jego pan. Z chęcią zadałby mu to pytanie, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że jego pozycja nie jest odpowiednia, by miał prawo zabierać głos, nie będąc pytany.

– Bardzo możliwe, że będzie mnie podejrzewał o zdradę – wymamrotał generał w zamyśleniu. Po chwili pokręcił głową, ściskając mocniej rękojeść sztyletu. – Nie byłbym zdziwiony, też bym się o to podejrzewał na jego miejscu. – Uśmiechnął się krzywo i gorzko.

Ciągle pochylony Evan wsłuchiwał się uważnie w słowa pana, lecz nie odważył się odezwać.

– Będę oczekiwał cotygodniowych doniesień – kontynuował anioł, ponownie zwracając się do swojego sługi. – Jeśli nie zdołam pojawić się w Gnieździe, będziesz informował mnie o wszystkim listownie.

Rowan nie był towarzyskim typem. Nie miał wielu przyjaciół i preferował raczej samotność, a jego jedynym kompanem był wielki jastrząb. Dostojny ptak przylatywał na każde jego zawołanie. Evan miał nieodparte wrażenie, że generała łączy niezwykła więź z tym osobliwym stworzeniem, zakrawało to na wzajemne czytanie sobie w myślach. Czasem śmiał nawet sądzić, że byli gotowi oddać za siebie życie.

– Oczywiście, panie – powiedział lakonicznie wampir.

Rowan westchnął, chowając sztylet do pochwy. Na kilka sekund przymknął powieki, następnie, otwierając szeroko błękitne oczy, wstał i podszedł do Evana.

– Coś niepokojącego dzieje się w Gnieździe – oznajmił, kładąc odzianą w białą rękawiczkę dłoń na ramieniu wampira. – Miejmy

nadzieję, że uda nam się ją złapać, zanim... – Urwał raptownie, odalając się powoli od sługi. – Mam do ciebie zaufanie, wierzę, że go nie zawiedziesz – rzekł, wychodząc z komnaty i zostawiając Evana samego.



Mur obwodowy Gniazda posiadał cztery wysokie baszty. Rowan mieszkał w jednej z nich. Tylko zwyczajni mieszkańcy, nienależący do gwardii anielskiej, żyli na Wyspie Skrzydeł.

Każda z wież obronnych miała tylko jedno wejście, mieszczące się u stóp budowli. Korzystali z niego jedynie słudzy – powstałi z martwych krwiopijcy, spełniający rozkazy swoich panów. Aniołowie po prostu wyskakowali przez olbrzymie okna, korzystając ze skrzydeł.

Rowan opuścił niewielką komnatę, zostawiając Evana samego. Wyszedł na wąski korytarz, przyspieszył kroku, a gdy zbliżył się do krawędzi okna balkonowego, wbił się w powietrze.

Czekała go poważna rozmowa z Najwyższym. Był zaniepokojony, ponieważ nie miał pojęcia, co się z nim stanie. Wystarczyło jedno słowo, jedno skinienie palcem, by pozbawić go życia.

Machał energicznie skrzydłami, zbliżając się do południowej wieży, w której zazwyczaj przebywał Najwyższy.

Drake Initium Invictus był jedynym przedstawicielem rasy Inicjan, jakiego Rowan miał zaszczyt poznać. Podobno większość tych niezwykłych istot wymarła, jeszcze zanim pojawili się na Alaris, ale nikt nie znał całej prawdy. Możliwe, że legendy o inicjańskich wojownikach były tylko bajeczkami wyssanymi z palca.

Rowan poczuł ucisk w żołądku, napotykać wzrok Najwyższego. Srebrnowłosey mężczyzna opierał się o mur, spokojnie czekając na generała.

Złociste włosy białoskrzydłego uniosły się delikatnie, gdy zleciał powoli, by wylądować na wielkim balkonie, po czym spuścił wzrok i pokłonił się nisko.

– Nie zdradziłem cię – powiedział, celowo wyprzedzając Inicjanina. – Przysięgam, że to nie byłem ja – podkreślił, czując, jak serce mocniej bije mu w piersi.

– Nigdy tego nie podejrzewałem – odezwał się zachrypniętym, lecz donośnym głosem Drake. – Znałem twoich przodków. Wiem, że opowieści o Wielkiej Wojnie przekazywane były u was z pokolenia na pokolenie.

To prawda. Rowan wywodził się z rodu Seyken. Jego przodek jako jeden z pierwszych ludzi zakosztował inicjańskiej krwi. Dał się omotać przepięknej istocie, która zaproponowała mu wieczne życie i skrzydła. Podpisał umowę z diabłem, oddając swoją duszę i wolną wolę. Może, gdyby ktoś w czas ostrzegł go przed zamianami Keiry, nigdy by się nie zdecydował na wypicie choćby kropli jej krwi. Jednak kiedy plany władczyni wyszły na jaw, było już za późno.

– Ludzie nazywają cię sadystycznym rzeźnikiem. – Zaśmiał się ironicznie Najwyższy. – Wiem, że jesteś brutalny, ale nigdy nie sądziłem, że przy tym także głupi. Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji uwolnienia Keiry. Wiesz, co spotkało twoich przodków.

Rowan przełknął ślinę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś wypowiedział jej imię.

– Spójrz na mnie, Rowanie – nakazał Inicjanin. – Przecież wiesz, że nie lubię, kiedy się przede mną kłaniasz.

Skrzydła anioła poruszyły się lekko. Podniósł wzrok, po czym wyprostował się powoli. Spojrzał w przenikliwe oczy Drake'a i westchnął z ulgą.

Darzył Najwyższego ogromnym szacunkiem. Wysłuchując długich opowieści z przeszłości, zawsze podziwiał jego niezłomność i siłę. Gdyby to on był na jego miejscu, pewnie postradałby zmysły. To, na co skazała go własna matka; to, przez co musiał przejść, gdy wydano go w ręce wroga... Rowan śmiał wątpić, że jego przodkowie znali choć połowę prawdziwej historii, ale to, co zdołali mu przekazać, było wystarczającym powodem, by nigdy nie ufać Keirze.

– Noszę w sobie jej krew – przyznał ze wstydem i odrazą. – Jak możesz mnie nie podejrzewać? Czasami nie jestem w stanie cię pojąć. Przecież, gdybyś tylko chciał, mógłbyś pozabijać ich wszystkich. Mógłbyś zmieść całą ludzkość z powierzchni ziemi i nie musieć się dłużej obawiać, że historia kiedyś się powtórzy. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze tego nie uczyniłeś – wyszeptał, uciekając wzrokiem, i zacisnął pięści tak mocno, że pobielaty mu kłykcie.

Po chwili ponownie spojrzął na Inicjanina. Zmieszał się, widząc zaskoczenie na jego twarzy. Śniada cera delikatnie pobladła, ale

szybko wróciła do swojego naturalnego koloru. Drake potrzebował kilku sekund namysłu, aż w końcu odpowiedział:

– Był taki moment. – Przeniósł spojrzenie na niebo. – Byłem o włos od zgładzenia ich wszystkich. Miałem dość. Dość ich niewdzięczności, braku szacunku, kłamstw... – Urwał, zamykając na chwilę oczy. – Nieoczekiwanie wydarzyło się coś, czego nie mogłem zignorować. Spotkałem kogoś, kto obudził we mnie wiarę w ludzkość. Możliwe, że nie wszyscy ludzie są źli – wymamrotał. – Tak jak nie wszyscy aniołowie są dobrzy.

Rowana zaskoczyła ta wypowiedź. Zawsze myślał, że Inicjanin nienawidzi ludzkiej rasy. Był niemal przekonany, że śmiertelnicy zawdzięczali swoje życie Aidanowi. Powszechnie było wiadomo, że przyjaciel Drake'a aż zanadto się z nimi utożsamiał.

– Keira połączyła siły z ludźmi i cię im wydała – przypomniał Rowan. – Nikt się za tobą nie wstawił. Żaden człowiek nie ruszył palcem, gdy cię zarzynano i...

– Wystarczy – przerwał mu Drake. – Doskonale wiem, co ze mną zrobiono, a ty nie musisz mi o tym przypominać. Nie znasz nawet części mojej historii, a to, co uważasz za prawdę, jest grubo przesadzone – rzekł groźnym, ostrym jak brzytwa głosem.

Generał instynktownie cofnął się o krok. Wiedział, kiedy należy dać za wygraną. Nie powinien był przeciągać rozmowy.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał, prostując się, jak na żołnierza przystało.

– Zbierz grupę zaufanych wojowników, aby dokładnie przeczesać Wyspę Skrzydeł. Wejdźcie do każdego domu i skrupulatnie je przeszukajcie, sprawdzając mieszkańców. Ja natomiast udam się do Todeswaldu...

– Ale...

– Nie przerywaj mi – zagrzmiał Najwyższy, rzucając mu groźne spojrzenie. – Nie będę nikogo ze sobą zabierał. Dość plugastwa żyje w tych lasach. Wystarczy jedno ugryzienie fledermausa, by zostać zainfekowanym.

– Ciągle próbuję znaleźć sposób, by odwrócić proces...

– Tak. – Inicjanin zaśmiał się gorzko. – Twoje eksperymenty – wyrzucił z siebie to zdanie takim tonem, jakby słowo „eksperymenty” było ciężkim przekleństwem, a kryjąca się w nim treść raniła go tak osobiście, że nie życzył sobie, aby kiedykolwiek jeszcze wypowiedziano je przy nim. – Nie chcę o tym słuchać. To, co robisz, nie

różni się wcale tak bardzo od tego, co zrobiliby na twoim miejscu ludzie. Męczysz te stworzenia, a gdy nie widzisz już szans na ich ratunek, posyłasz je na śmierć. Myślisz, że o tym nie wiem? Po prostu nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Pamiętaj jednak, że nie będę tolerował znęcania się nad niewinnymi. Nie obchodzą mnie szuje z Nestu, którym krzywdzenie innych sprawia przyjemność. Nie życzę sobie natomiast, byś torturował bezbronnych i niewinnych. Zrozumiałeś?

– Oczywiście – odpowiedział z pokorą Rowan, nadając głosowi bardziej pokorne brzmienie.

– Zbierz także swoich sługusów. – Drake wrócił do głównego tematu. – Rozkaż im, że mają szpiegować mieszkańców Nestu. Niech meldują ci każdą podejrzaną sprawę. Keira coś planuje, a my musimy czym prędzej dowiedzieć się co. Sama nic nie wskóra. Posłuży się tymi naiwnymi głupcami. To od zawsze była jej ulubiona metoda.

ROZDZIAŁ 2

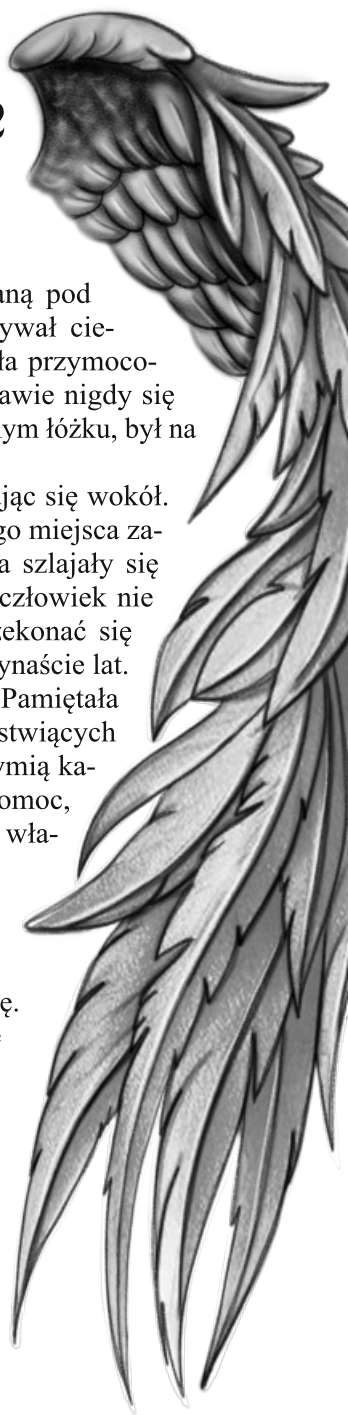
Moon opuściła dom. Twarz miała schowaną pod kapturem bordowej peleryny, który okrywał cieniem jej szmaragdowe oczy. Na plecach nosiła przymocowany szerokim, skórzanym pasem miecz – prawie nigdy się z nim nie rozstawała. Nawet gdy spała we własnym łóżku, był na wyciągnięcie ręki.

Ostrożnie stawiała kroki, uważnie rozglądając się wokół. O tej porze nikt normalny nie opuszczał swojego miejsca zamieszkania, po ulicach Południowego Sektora szlajały się mendi, z którymi rozsądny, kochający życie człowiek nie chciałby się spotkać. Moon miała okazję przekonać się o tej okrutnej prawdzie, gdy miała zaledwie trzynaście lat.

Nigdy nie zapomniała, co się wtedy stało. Pamiętała szczerzące się twarze tych parszywych hien pastwiących się nad bezbronny aniołem. Pamiętała olbrzymią kałużę szkarłatnej krwi, krzyki, wołanie o pomoc, a później trzepot potężnych skrzydeł, których właściciel ocalił jej życie.

Sunąc przed siebie, zerknęła mimowolnie na rękę naznaczoną przez tajemniczego anioła dziwnym, niewidzialnym tatuażem. Nie mogła zliczyć, ile razy chciała wypowiedzieć jego imię. Jak często zastanawiała się, czy on naprawdę się pojawi. Jednak nie zrobiła tego. Zachowała sobie tę bezcenną przysługę na sytuację, z której rzeczywiście nie będzie wyjścia.

Myśląc o nim, widziała we wspomnieniach przepiękne, czarne skrzydła, których lotki błyszczały złotem. Widziała niezwykle oczy o nasyconej turkusowej barwie. Jednak jego twarz, osłonięta wtedy maską, pozosta-



wała tajemnicą. Mimo to Moon była przekonana, że rozpoznałaby go wszędzie.

Zauważywszy grupkę mężczyzn, zatrzymała się, przyklejając plecy do muru jednego z domów. Była na tyle spostrzegawcza, że zdążyła wypatrzeć nóż u jednego z nich. Prawdopodobnie należeli do gangu Krwiożerców.

Zdawała sobie sprawę, że była w stanie zlikwidować całą czwórkę tych śmierdzących kanalii, lecz nie miała czasu, by się z nimi bawić. Za kilka minut powinna pojawić się w Kryjówce Lisa. Nie mogła się spóźnić.

Odetchnęła głęboko, po czym ominęła rzezimieszków, kierując się prosto do domu Nory.



Chata rudowłosej rebeliantki była jeszcze mniejsza od domu Moon, za to w jej piwnicy znajdowały się trzy pomieszczenia. Jedno z nich stanowiło duży pokój, w którym odbywały się narady.

Moon zsunęła kaptur, ukazując twarz reszcie zebranych. Wyciągnęła długie, lekko pofalowane włosy zza peleryny, a burgundowe kosmyki opadły bujną kaskadą na plecy.

Przywitała się skinieniem głowy, po czym zajęła jedno z krzeseł stojących przy starym, drewnianym stole, z palącą się na nim lampą naftową oświetlającą nie tyle pomieszczenie, co gości.

Dziewczyna wzdygnęła się lekko, gdy Bram położył ogromne łapy na jej smukłych, lecz silnych ramionach. Przywódca rebeliantów, którego miała zaszczyt nazywać ojcem, był łysym, przysadzystym, grubokościstym facetem około pięćdziesiątki. Wyglądem przypominał niebezpiecznego niedźwiedzia, ale w rzeczywistości miał miękkie serce. Gdy w życiu Moon zabrakło Tristana, pomógł jej bez wahania. Razem z Shaną przygarnęli ją i nauczyli wszystkiego. Traktowali na równi z Matthew, swoim synem, i nigdy niczego jej nie zabrakło.

Drzwi piwnicy były zamknięte na klucz. W pomieszczeniu panowała taka duchota, że pot łał się strumieniami, ale to zdawało się nikomu nie przeszkadzać. Od lampy czuć było silną woń nafty, którą całe szczęście tłumił trochę zapach świeżo upieczonego chleba.

Nora zawsze była bardzo gościnna. Nigdy nie kazała siedzieć członkom rebelii o suchych pyskach. Dzban wody ze świeżymi liśćmi mięty napełniany był na bieżąco, a chrupkie pieczywo wystarczało, by napełnić wszystkie brzuchy.

– Jesteśmy w komplecie? – zapytał Bram, spoglądając na wszystkich po kolei.

Grupa rebeliantów składała się z ośmiu osób. Nora, Bram i Shana coraz rzadziej brali aktywny udział w misjach, mieli już swoje lata, więc działali głównie z ukrycia. Moon, Keva i Matthew byli najmłodszymi członkami stowarzyszenia, natomiast Randal i Florian pełnili funkcję opiekunów i zazwyczaj kierowali całą akcją.

– Miałeś oznajmić nam coś niezwykle ważnego – odezwała się Shana, zakładając ręce na piersi.

Była wyższa od swojego męża, a jej postawa budziła u większości respekt i poważanie. Zatrzymała błękitne oczy na twarzy ukochanego, jakby chciała przeniknąć do jego umysłu.

– Mówiłeś, że dzisiejsza noc odmieni nasze dotychczasowe życie – kontynuowała, unosząc brwi tak wysoko, że na czole pojawiły się liczne zmarszczki. – Jest nas zaledwie garstka i nie jesteśmy w stanie za wiele zdziałać – powiedziała na głos to, z czego wszyscy zdawali sobie sprawę, lecz nie mieli odwagi się do tego przyznać. – Cóż takiego wymyśliłeś, by to zmienić?

– Shana – zaczął spokojnie Bram. – Kilka dni temu skontaktowała się ze mną pewna kobieta. – Zerknął w stronę lekko uchylonych drzwi prowadzących do osobnego pokoju. – Najpierw musiałem rozmówić się z Norą...

– A więc Nora o wszystkim już wie, a twoja żona nie ma zielonego pojęcia, coś ty znowu wymyślił? – oburzyła się Shana, odsuwając lekko stołek, na którym siedziała, lecz nie wstała z miejsca.

– Nie chciałem wam robić złudnych nadziei, na wypadek gdyby nic z tego, co powiedziała mi Devine, nie było prawdą – wytłumaczył z godnym podziwu opanowaniem. – Ta kobieta zaczęła mnie, gdy szedłem uliczką prowadzącą wzdłuż targowiska. Twierdziła, że posiada niezwykle istotne informacje, które pomogą nam pozbyć się... boga. – Ostatnie słowo ledwo przeszło mu przez usta. Nawet on bał się tych legendarnych istot, choć nie miał pewności, czy naprawdę istniały. – W zamian za nie chciała schronienia i pożywienia.

– Skąd możesz wiedzieć, że to nie jest jakaś naciągaczka? – odezwał się nagle Randal, który do tej pory stał z boku, przyglądając

się siedzącym przy stole towarzyszym. Szybko przeczesał palcami swoje jasne loki, następnie podrapał się po piegowatym nosie. – Tylko mi nie mów, że uwierzyłeś jej na słowo i naraziłeś nas wszystkich, zdradzając, że należymy do rebeliantów? – Ponownie przeczesał włosy. Robił to zawsze, gdy był zdenerwowany.

– Oczywiście, że was nie zdradził. – Usłyszeli nieznanomy kobiecy głos.

Drzwi pokoju, na które co chwilę zerkał Bram, otworzyły się niespodziewanie. Wysoka, bardzo szczupła kobieta o śniadej cerze i ogolonej na tyso głowie przekroczyła próg. Była zdumiewająco piękna, a jej brązowe, prawie czarne oczy zdawały się przenikać prosto do duszy Moon.

Powolnym, dostojnym krokiem zbliżyła się do stołu, po czym chwyciła za oparcie krzesła Kevy. Biedna dziewczyna wyglądała, jakby miała się zaraz zapaść pod ziemię. Córka Floriana miała zaledwie siedemnaście lat. Nie brakowało jej ducha walki, dlatego Moon zdziwiła się nieco, widząc jej wystraszoną minę.

– Nazywam się Devine – przedstawiła się obca, przyglądając się każdemu uważnie. – Na razie nie powiem wam o sobie nic więcej, ale sądzę, że moja wiedza wystarczy, byście zechcieli do mnie dołączyć. – Uśmiechnęła się zagadkowo.

– My dołączyć do ciebie? – Krzaczaste brwi Floriana uniosły się z niedowierzania. – Wolne żarty – prychnął, machając na nią ręką. – Z tego, co widzę, to ty chcesz dołączyć do nas, księżniczko. – Przesunął po niej lekceważącym wzrokiem. – Czy w ogóle możesz nam zaoferować coś interesującego? Wątpię...

Głośny śmiech Devine przerwał jego wypowiedź. Wyglądała na szczerze rozbawioną. Pokręciła głową, puszczając oparcie krzesła. Moon wyraźnie widziała, jak Keva odetchnęła z ulgą.

– Chłopcze – rzekła, jakby Florian był jakimś małym, a przecież w tym roku skończył czterdzieści pięć lat. – Czy kiedykolwiek próbowaliście zabić... Jak ich nazywacie... – zastanowiła się, przykładając smukły, długi palec wskazujący do ust – wampira albo anioła? – zapytała w końcu, ale nie czekała na odpowiedź. – Oczywiście, że nie. – Znów zachichotała, co powoli doprowadzało Moon do szału. Obca stanęła przed Florianem, który nieoczekiwanie pobladł. – O tym, by zabić samego boga, nie śmieliście nawet marzyć.

– Coś takiego jak bóg prawdopodobnie w ogóle nie istnieje – zabrała głos Shana.

– Prawdopodobnie – powtórzyła po niej nieznajoma. – Jesteście naiwnymi głupcami, skoro tak myślicie.

Słyszając te słowa, Bram zdawał się żalować, że podał Devine pomocną rękę. Wyglądał, jakby lada chwila miał się na nią rzucić i skrócić jej kark.

– Uwierzcie mi, że ten, którego nazywacie bogiem, rzeczywiście istnieje – stwierdziła nieznajoma pewnym tonem, a jej ciemne oczy dziwnie zaśniły. – Połowa legend o nim jest całkiem bliska prawdy.

– Ta kobieta jest niespełna rozumu – wtrącił się Matthew, co było nie lada zaskoczeniem dla Moon. Jej przyjaciel rzadko udzielał się w dyskusjach, zresztą ona sama także nie zabierała często głosu. – Skąd ty się w ogóle wzięłaś? – Wskazał na nią oburzony. – Ojczy, nic o niej nie wiesz – zwrócił się do Brama. – Podejrzewam, że znasz jedynie jej imię. Bóg istnieje... Też mi coś.

– I wy nazywacie siebie rebelią? – zakpiła Devine. – Godne pożałowania.

Sytuacja robiła się coraz poważniejsza i bardziej napięta. Moon z trudem siedziała na miejscu, próbując nie ulec pokusie wbicia ostrza miecza w serce nieznajomej. Jeśli ona w ogóle posiadała serce.

– Devine! – warknął Bram, waląc otwartą dłonią w stół. – Dość tego! – nakazał surowo, przeszywając ogoloną na лыso kobietę morderczym spojrzeniem. – Przestań się z nami przekomarzać i powiedz im w końcu to, co powiedziałaś mnie. Nie życzę sobie, byś obrażała moją rodzinę. Jeśli nie zmienisz nastawienia względem nas, nie będę cię dłużej tolerował. Nieważne, jak bardzo możesz nam pomóc, szacunek jest niezwykle ważny. Jeśli nie będziemy się wzajemnie szanować, skoczmy sobie kiedyś do gardeł.

– Już dobrze – wymruczała Devine, wzdychając głośno i wyglądała przy tym, jakby ktoś przerwał jej niezwykle dobrą zabawę. – Wiecie, jak wyglądają aniołowie? – zapytała, nie zważając na bojowe nastawienie zebranych. – Białe skrzydła – odpowiedziała za nich.

– Co to ma do rzeczy? – burknęła Shana, ale jej mążzonek pokręcił głową, po czym skinął na nieznajomą, by mówiła dalej.

– A to, że bóg posiada czarne. – Na te słowa Moon przestała oddychać. – Czarne pióra zakończone złotym akcentem. Pióra, które w razie zagrożenia stają się ostre jak brzytwa.

Nagle w piwnicy zrobiło się okropnie gorąco. Dłonie Moon zadryły lekko, a ich wewnętrzna strona była mokra od potu. Dziew-

czyna przywołała w pamięci obraz anioła, który ją ocalił. Przeszył ją zimny dreszcz. To nie mogła być prawda. Ta kobieta bredziła.

– Może zacząłbym ci wierzyć, gdybyś miała choćby mały dowód na potwierdzenie swoich słów – rzekł gniewnie Florian.

– Kto powiedział, że takiego nie mam. – Devine wzruszyła obojętnie ramionami i tym jednym zdaniem zyskała całkowitą uwagę wszystkich rebeliantów.

Kąciki jej pełnych ust uniosły się wysoko. Bez pośpiechu odpięła guziki wyszywanego złotymi sznurkami płaszcz, po czym ściągnęła go i przewiesiła przez oparcie krzesła.

Moon przelknęła nerwowo ślinę, zatrzymując wzrok na jej smukłej szyi. Tajemnicza kobieta posiadała srebrny, dość gruby łańcuszek, na którym zawieszona było piękne, czarne pióro. Przejechała po nim opuszkami palców, zamykając na moment powieki.

– To może być zwyczajne pióro – stwierdziła sceptycznie Shana. Zawsze podchodziła do wszystkiego z niezwykłą ostrożnością. – Mogłaś kupić je na targowisku i zafarbować na czarno. Co prawda nie mam pojęcia, skąd wzięłaś złoto, ale dla kogoś, kogo stać na takie odzienie – pokazała na bogato zdobiony płaszcz – to nie była pewnie żadna przeszkoda.

– To nie wszystko, Shano – odezwał się Bram, patrząc na swoją żonę błagalnym spojrzeniem.

Devine odpięła łańcuszek, przejechała wzrokiem po wszystkich obecnych, po czym gwałtownie się zamachnęła i jednym szybkim ruchem wykonała pionowe cięcie. Pióro w jej dłoni zabłysło osobiwie, a następnie przecięło blat, jakby było niezwykle ostrym mieczem.

Serce podeszło Moon do gardła. Razem z resztą odsunęła się od stołu, patrząc zszokowana na zadowoloną kobietę.

– Czy zwyczajne pióro zrobiłoby coś takiego? – zapytała retorycznie Devine.

Moon, zanim zdążyła pomyśleć, zbliżyła się o krok do tajemniczej kobiety, po czym otworzyła usta i rzekła:

– Skąd pewność, że to pióro należy do boga? Nikt go nie widział, a co za tym idzie, nikt nie wie, jak wygląda. – Zmrużyła podejrzliwie oczy. – Skąd je masz?

– To nie jest istotne – odpowiedziała Devine, z powrotem zawieszając łańcuszek na szyi. – Nie dowiedcie się ode mnie, skąd je mam. Nie zdradzę wam, w jakich okolicznościach spotkałam... boga. – Uśmiechnęła się krzywo. – Mogę wam zdradzić, jak go zabić.

Albo jesteście zainteresowani, albo opuszczę was i już nigdy nie będę się wam naprzykrzać.

– Wolne żarty – syknęła Moon. – Chyba nie myślisz, że tak po prostu pozwolimy ci odejść i zaufamy, że nie wydasz nas aniołom? Naprawdę masz nas za takich głupców? – Jej ciemne brwi uniosły się wysoko.

– Moon – wtrącił się nagle Bram. – Od niepamiętnych czasów próbujemy przeciwstawić się rządowi boga. Od kilkudziesięciu lat szukamy sposobu, by się go pozbyć. Co osiągnęliśmy? – Uniósł ręce w geście bezradności i odpowiedział sam sobie z żalem: – Zupełnie nic. Można nas policzyć na palcach. Kiedyś w ludziach było więcej wiary. Kiedyś mieliśmy jeszcze nadzieję, że coś zmienimy. Rozejrzyjcie się! Nie mamy najmniejszych szans na zwycięstwo. Nie przyłączą się do nas ani ludzie, ani wampiry.

Moon wiedziała, że wspomnienie wampirów nie było przypadkowe. Nieważne, że większość z nich dobrowolnie wypijała krew skrzydlatych istot i im służyła, to bardzo prawdopodobne, że przynajmniej kilkunastu podzieliłoby zdanie rebeliantów.

– Nie znamy sposobu, by unieszkodliwić boga – kontynuował Bram. – Nie mamy żadnego planu. Jesteśmy grupką upartych osłów, marzących o lepszym jutrze, ale w rzeczywistości każde z nas wie, że ciągle stoimy w miejscu.

Nastąpiła cisza, w której każdy z buntowników przetrawiał to, co zostało powiedziane i nie wiedział, jak zareagować.

Moon była świadoma, że Bram miał całkowitą rację, ale mimo to wahała się, by zaufać Devine. Nieznajoma kobieta ukrywała zbyt wiele tajemnic. Do tego dochodził jeszcze fakt, że dziewczyna nigdy wcześniej nie mówiła na głos o tym, co spotkało ją tamtej nocy. Nikt nie wiedział, że próbowała obronić anioła. Nikt nie miał pojęcia, że wpadła w łapy Krwiożerców. Nikt nawet się nie domyślał, że wtedy ledwo uszła z życiem. Nie miała najmniejszego zamiaru opowiadać o tym, czego była świadkiem. Odnosiła wrażenie, że gdyby choć wspomniała o swoim czarnoskrzydłym wybawcy, zdradziłaby także samą siebie.

– Mówisz, że znasz sposób, by go zabić – odezwał się wreszcie Florian, wyrывая Moon z zamyślenia. – Przedstaw nam go najpierw – zażądał, a reszta zgodnie pokiwiała głowami.

– Potrzebuję papieru i czegoś do pisania – oświadczyła Devine, zajmując wolne krzesło.

Bram skinął głową w kierunku Nory, która do tej pory nie odezwała się słowem. Nie protestując, starsza kobieta zniknęła na krótką chwilę w jednym z osobnych pomieszczeń i wróciła ze wspomnianymi rzeczami. Milcząc, podała kartkę i kawałek węgla nieznajomej, po czym oddaliła się pospiesznie.

Devine rozłożyła beżowy arkusz na uszkodzonym blacie stołu i zaczęła coś na nim kreślić.

– Większość ludzi nigdy nie opuściła Gniazda – powiedziała, nie przestając rysować. – Nie ma się czemu dziwić. Od reszty świata dzieli was potężny mur obronny, wyposażony w cztery wysokie wieże. Aniołowie obserwują granicę dniem i nocą. Nawet jeśli udałoby się komuś opuścić to sztuczne miasto, zapewne wróciliby już po kilku dobach z płaczem... Jeśli przeżyłby na zewnątrz.

Moon automatycznie objęła się rękami. Czując na sobie wzrok Matthew, popatrzyła w jego stronę. Młody mężczyzna nie wyglądał na zadowolonego, lecz nie zapowiadało się na to, by zaczął protestować. Czekał, podobnie jak reszta towarzyszy, by wysłuchać tajemniczej kobiety do końca. Czekał, by osądzić, czy jej plan miał jakiegokolwiek szanse powodzenia.

– Jak już pewnie wiecie – kontynuowała Devine – większość łądów została zatopiona w czasie Wielkiej Wojny. Pozostały jedynie trzy wyspy.

Wąskie usta Shany rozchyliły się lekko, a oczy wytrzeszczyły ze zdziwienia. Ludzie, a przynajmniej ci, których знаła Moon, nie mieli pojęcia, jak wyglądała aktualna mapa świata. Od urodzenia żyli w Gnieździe i to ono było ich całym światem. Wielka Wojna miała miejsce wieki temu i każdy człowiek, który brał w niej udział, nie żył już od dawna.

– Wyspa, na której zbudowano Gniazdo, jest największa – wyjaśniała dalej Devine, wprawiając rebeliantów w zdumienie. – Druga jest tylko trochę mniejsza, lecz o wiele bardziej rozbudowana. Mieszkają na niej mie... – zająknęła się – aniołowie – poprawiła się szybko. – Ostatnia wyspa nie ma nawet stu kilometrów kwadratowych i jest niezaludniona.

Nie odrywając wzroku od papieru, uniosła rękę i pomachała na znak, że pozostali mają podejść.

Moon zatrzymała się tuż za plecami Devine, a gdy spojrzała na stworzony przez kobietę obraz, zaparło jej dech w piersiach.

Nieznajoma narysowała mapę ukazującą wspomniane przez nią wyspy. Doskonale wiedziała, jaki mają kształt i jaki dystans je dzieli. Mniej więcej pośrodku największej wyspy nakreśliła okrąg, który prawdopodobnie oznaczał Gniazdo.

– Skąd...? – Nora odezwała się cichym, przerywanym głosem. – Skąd o tym wszystkim wiesz? – wydusiła z siebie, nachylając się i studiując mapę.

– To nieistotne – powtórzyła raz jeszcze Devine. – Już wam powiedziałam, że nie odpowiem na tego typu pytania – przypomniała, wzruszając ramionami. Wzięła głęboki wdech, a następnie zaczęła tłumaczyć: – Wasze Gniazdo jest otoczone rzeką. – Przejechała palcem po narysowanej wokół okręgu linii. – Rzeka ta ma sześć rozgałęzień, które mają ujście w Bezkresnych Wodach zwanych przez wielu Hadesem. – Pokazała na obszar poza wyspami, który zaznaczyła czarną plamą. – Po Wielkiej Wojnie niektórzy ludzie ewoluowali. Ich organizmy powoli zaczęły przystosowywać się do otaczającej ich wody. Wykształciły im się skrzela, a kończyny zaczęły przypominać płetwy. – Przelknęła ślinę, wpatrując się w niewidzialny punkt przed sobą. Moon mogłaby przysiąc, że zauważyła w oczach Devine strach. – Nie mogąc znaleźć innego pożywienia, karmili się surowymi rybami. Stali się drapieżnikami z niezwykle wyczulonymi zmysłami. Nazwano je tarkenami.

– Chcesz nam powiedzieć, że ludzie, którzy nie zdołali dotrzeć do Gniazda, nie wyginęli? – zapytał zszokowany Florian.

– To już nie są ludzie – sprostowała ogolona kobieta. – To krwiozercze bestie, kierujące się wyłącznie zwierzęcym instynktem.

Ten nagły ciężar informacji zdawał się przytłaczać nie tylko Moon, lecz także pozostałych członków rebelii. Nikt nie spodziewał się czegoś takiego. Czarne pióro, które Devine pokazała im wcześniej, nagle przestało mieć aż takie znaczenie.

– Rzuciłyby się na jednego z nas? – odezwał się zaniepokojony Randal.

– Oczywiście – rzekła Devine, patrząc na niego, jakby postradał zmysły. – Bez wahania zatopiłyby ostre zęby w twojej szyi, chłopcze – stwierdziła, a Moon kolejny raz nie potrafiła zrozumieć, dlaczego kobieta zwraca się do dorosłych jak do dzieci. – Rozszarpałyby cię na strzępy i wyssały nawet szpik z kości.

Po plecach Moon przeszedł zimny dreszcz. Dziewczyna obawiała się, że na tym się nie skończy. Devine narysowała dla nich

mapę, a więc prawdopodobnie czegoś szukała. Możliwe, że sama nie dała rady tego znaleźć i potrzebowała pomocy. Cokolwiek to było, z całą pewnością pociągnie za sobą bolesne konsekwencje.

– Czego od nas chcesz? – wyrwało się Moon. – Mówisz nam to wszystko nie bez powodu. Skoro zdradzasz nam ułożenie wysp i wód, informujesz o niebezpieczeństwach... Ty czegoś szukasz, prawda? – wypowiedziała myśli na głos. – Czegoś, co znajduje się poza granicami Gniazda. Czegoś, czego sama nie potrafisz odnaleźć.

Devine wyszczerzyła zęby i zaśmiała się cicho. Niespodziewanie odwróciła kartkę i zaczęła rysować coś nowego.

– Sprytna z ciebie dziewczyna – przyznała, kreśląc pierwsze linie. – Masz rację, szukam czegoś. Tak właściwie szukam czterech rzeczy, które połączone stanowią sztylet. – Naszkicowała piękny, aczkolwiek osobliwy nóż. – Ostrze tego sztyletu jest wykonane z inicjańskiej stali i wykute w zimnym ogniu Feuerheimu – wyjaśniła, rysując po bokach poszczególne elementy, z których składała się wspomniana broń. – Jeśli uda wam się odnaleźć wszystkie części i złożyć w całość, będziecie mogli pozbawić boga nieśmiertelności – wymruczała jak kot, delektując się każdym słowem.

Moon nie mogła w to wszystko uwierzyć. To działo się zbyt szybko. Wróciła myślami do początku rozmowy z Devine. Czy ta kobieta poważnie chciała zabić samego boga? Czy to możliwe, że czarno-skrzydły anioł, który uratował jej życie, był bezlitosnym tyranem?

Nie jestem w stanie go zdradzić, przyznała sama przed sobą.

Mimowolnie złapała się za przedramię, gdzie jej wybawca zostawił niewidzialny tatuaż. Była w pełni świadoma tego, że mogłaby go wezwać w każdej chwili. Powinna to zrobić. Była to winna ludzkości.

Krew szumiała jej w uszach, a nogi zrobiły się niezdolnie miękkie. Dlaczego ciągle milczała? Jej usta nie chciały się otworzyć i wyznać prawdy. Coś nie pozwalało jej opowiedzieć innym o tamtej nocy.

Opuściła bezwładnie ramiona, po czym kurczowo zacisnęła pięści. Paznokcie wbiły się w wewnętrzne strony dłoni, ale nawet nie drgnęła.

Nie zdradzę cię, powtórzyła w myślach.

– Załóżmy, że bóg naprawdę istnieje – zabrał głos Matthew, a wszystkie oczy skierowały się na niego. – Załóżmy, że legendy, które nam opowiadano, są choć po części prawdą. Twierdzisz, że

wbijając ten magiczny sztylecik w serce boga, pozbawimy go nieśmiertelności? Wszystko ładnie i pięknie, ale co dalej? – Spojrzał na Moon, jakby chciał się upewnić, że stoi po jego stronie. Gdy dziewczyna skinęła delikatnie głową, kontynuował wypowiedź: – Czy pozbawiając go nieśmiertelności, pozbawimy go także życia? Raz na zawsze? Zglądzimy go tym jednym posunięciem? A może to będzie dopiero początek?

– Chłopak dobrze gada – poparł go Randal, uderzając otwartą dłonią w blat stołu. – Nie uwierzę, że wraz ze śmiercią boga polegną także anioły i wampiry. Możliwe, że zabijając go, rozwścieczymy pozostałych i znajdziemy się w gorszym położeniu niż dotychczas.

Buntownicy zgodnie pokiwali głowami, ale Devine nie wyglądała na zdziwioną, jakby spodziewała się takiej reakcji.

– Jeśli rzeczywiście uda nam się zdobyć wszystkie części sztyletu i połączyć je w całość – zaczęła spokojnie – będziemy jeszcze musieli zmusić boga, by się ujawnił. Co do tego mam już pewne plany, więc tym nie musicie sobie zawracać głowy. Niestety to nie wszystko. – Oparła się na krzesło, prostując nogi. Przypominała jakąś królową, rozsiadającą się wygodnie na tronie i dyrygującą posłusznymi poddanymi. – Do boga nie będzie łatwo się zbliżyć. Jest niezwykle silny. Jest szybki i sprytny. Nie zapominajmy także o tym, że posiada skrzydła, które są równocześnie śmiertcionośną bronią. Dotrzemy do niego jedynie podstępem. Bóg także ma słabe punkty. – Znów uśmiechnęła się diabolicznie. Zaczepiła długimi paznokciami jednej dłoni o paznokiec drugiej i zaczęła nimi pstrykać. – Nie jest ich wiele, ale jeden z nich może wpędzić go w prawdziwe kłopoty.

Moon już chciała zapytać, skąd Devine wie tyle na temat boga, jednak zrezygnowała, przypominając sobie jej wcześniejsze słowa. Nieznajoma nie miała zamiaru im tego zdradzać. Chciała zachować wszystkie swoje tajemnice, zwłaszcza te o przeszłości, a rebelianci mieli jej zaufać.

– O jakim słabym punkcie mowa? – odezwała się Shana.

– Anioł – odpowiedziała krótko, a jej twarz wykrzywiła się w odrazie. – Jedyne anioł, którego sam stworzył. Jedyne istota, którą prawdziwie pokochał. Jedyne, dla której zaryzykowałby nawet własne życie. To będzie nasz as w rękawie, jeśli mój plan nie powoduje do końca, co jest mało prawdopodobne.

Moon ugryzła się boleśnie w język, by przypadkiem nie zabrać głosu. Nie mogła jednak powstrzymać własnych myśli. Skoro bóg

potrafił kochać, nie mógł przecież być doszczętnie zły. Skoro był gotowy poświęcić się dla innej osoby, musiał mieć choć namiastkę duszy. To niemożliwe, żeby był diabłem wcielonym. Czuli się zagubiona, czuli, że musi być lojalna wobec ludzi stanowiących jej rodzinę, ale przerażała ją fakt, że nie do końca podzielała entuzjazm zebranych.

Moon coraz mniej podobał się ten cały plan. Niemniej jednak, patrząc na twarze swoich towarzyszy, widziała nadzieję, co przerażało ją bez reszty.

– Wiesz, gdzie znajdują się części sztyletu? – zapytał Florian, przyglądając się wnikliwie wykonanemu przez Devine rysunkowi.

– Owszem – odparła zadowolona. – Nie mogę jednak wyjść z ukrycia. Jeszcze nie. Jeśli zdecydujecie się połączyć ze mną siły, będziecie musieli sami ruszyć na poszukiwanie elementów sztyletu – ostrzegła surowo. – Do niczego was nie zmuszam, to wasz wybór. Przedstawiłam wam moją strategię, teraz oczekuję waszej odpowiedzi. Jeśli się zgodzicie, zdradzę wam lokalizacje części sztyletu. Jeśli nie – wzruszyła obojętnie ramionami – możecie wydać mnie aniołom, wypuścić lub zabić. Sama nie zrealizuję tego planu, a bez jego realizacji i tak będę trupem.

Bram spojrział na każdego po kolei, po czym zachłusnął się powietrzem i oznajmił:

– Jestem gotowy, by wyruszyć na te poszukiwania, ale nie będę mówił za wszystkich. Każde z was ma wolną wolę. Możecie wyjść z tego domu i zapomnieć o wszystkim, co właśnie się wydarzyło. Nikt nie będzie wam miał tego za złe.

Minęło kilka sekund, a atmosfera w piwnicy zrobiła się napięta do granic możliwości.

– Zgadzam się – przystał w końcu Randal.

– Ja również. – Florian pokiwał głową, następnie odgarnął kasztanowe włosy z wysokiego czoła.

– I ja – rzekła Keva ku zaskoczeniu Moon.

Nora, Matthew i Shana także pokiwali głowami. Moon poczuła nagle ciężar w żołądku, jakby niosła w nim jakiś kamień. Miała wątpliwości. Przygryzła boleśnie wewnętrzną stronę policzka, lecz nie udało jej się pozbyć przykrego wrażenia. Przełknęła nerwowo ślinę, zmrużyła na krótką chwilę oczy i prawie niezauważalnie skinęła głową. W jej uszach huczała krew, a serce biło jak oszalałe.

– Wyśmienicie – podsumowała usatysfakcjonowana Devine. – Usiądźcie w takim razie i wysłuchajcie mnie do końca – oznajmiła, odwracając papier na stronę, na której narysowała mapę.

Moon nie potrafiła powstrzymać lekkiego drżenia. Instynkt podpowiadał jej, że przystając do nieznamomej, wpakują się w niezłe bagno. Ten sam instynkt kazał jej opuścić tamtej nocy dom i pomóc aniołowi, którego napadli ludzie.

Dziewczyna nagle zdała sobie sprawę, że anioł, ten pozbawiony wtedy skrzydeł, może być owym słabym punktem, o którym opowiedziała im Devine.

Moon usiadła na krześle, biorąc się w garść. Jej decyzja pozostała niezmienna. Postanowiła być lojalna wobec swojego wybawcy. Lojalna wobec jedynego anioła, który podał jej pomocną dłoń.

Co dziwne, nie obawiała się tego, że czyni źle, tylko przerażała ją fakt, że ktoś mógłby odkryć jej sekret. Czy zatajając prawdę, była zdraczkinią? Nie czuła się tak.

– Sztylet został podzielony na cztery części – zaczęła Devine. – Rękojeść znajduje się w Gnieździe.

– Tylko nie mów, że ukryto ją w Sektorze Północnym – wtrącił się Florian.

– O nie, mój drogi. – Kobieta pokręciła głową. – To byłoby zbyt łatwe. – Tym jednym zdaniem sprawiła, że rebelianci pobledli. – Rękojeść sztyletu znajduje się na arenie.

Keva zasłoniła usta dłońmi, a jej oczy zrobiły się nienaturalnie duże.

– Randal, Florian, Moon i ja bierzemy czynny udział w igrzyskach – wyjął Matthew. – Jeśli wiesz, gdzie dokładnie została ukryta pierwsza część sztyletu, zrobimy wszystko, by ją stamtąd zabrać.

– Podczas walki musisz być w pełni skoncentrowany na przeciwniku – wmieszała się Moon. – Nie możesz być myślami gdzie indziej. – Popatrzyła na swojego rówieśnika z niedowierzaniem. – Jak chcesz walczyć i równocześnie szukać rękojeści? Przecież wystarczy chwila nieuwagi, a twój rywal pozbawi cię głowy. – Czuła, że nie mogła stracić kolejnej bliskiej osoby.

– Musimy zaryzykować, Moon. – Matthew zerknął na nią z troską i wyciągnął w jej kierunku dłoń, lecz dziewczyna nie miała zamiaru za nią złapać.

Przecież wiesz, co stało się z moim bratem, pomyślała i miała ochotę się rozplakać.

– Trzeba działać rozsądnie – powiedział Bram z godnym podziwu opanowaniem. – Devine jeszcze niczego nie sprecyzowała, a wy już zaczynacie się kłócić. – Spojrzał karcąco na swojego syna, a zaraz potem na przybraną córkę. – Wiesz, gdzie dokładnie jest rękojeść sztyletu? – powtórzył pytanie Floriana, zwracając się do tajemnicznej kobiety, która najwyraźniej znakomicie się bawiła.

– Nie jestem pewna, ale każdy, kto choć trochę rozejrzał się po arenie, zapewne wie, gdzie znajduje się rękojeść – odpowiedziała zagadkowo.

Brwi Brama powędrowały w górę.

– Możesz mówić jaśniej? – burknęła Shana.

– Potrzebuję czystej kartki – stwierdziła Devine, zerkając ukradkiem na Norę. – Sami się zaraz przekonacie, o co mi chodzi.

Kiedy gospodyni podała jej kolejny arkusz, nieznajoma zaczęła ponownie rysować. Moon musiała przyznać, że kobieta miała talent. Umiejętnie przedstawiała nawet najdrobniejsze detale w swoich szkicach i to w tak krótkim czasie. Nakreśliła piękną, bogato zdobioną rękojeść, na której widok Moon zapało dech w piersi.

– Już widziałam te symbole – przyznała, wskazując stworzony przez Devine obraz. – Na samym środku areny położona jest stalowa płyta wielkości otwartej dłoni, którą zazwyczaj przykrywa piach.

Dziewczyna odkryła ją całkiem niedawno, podczas jednej z walk. Jej przeciwnikiem był przerośnięty mięśniak z niewyobrażalnie mocnym prawym sierpowym. Gdyby nie szybkość i zwinność Moon, prawdopodobnie jej towarzysze musieliby znosić ją z areny na noszach. Na samo wspomnienie o tamtym starciu dostała gęsiej skórki.

– Pamiętacie moją walkę sprzed trzech tygodni? – zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. – Pamiętacie, jak ten cholerny olbrzym rzucił mną o ziemię i chciał przygnieść swoim ciężarem?

– Nieźle go załatwiłaś – wymamrotał Florian, a prawy kącik jego wąskich ust zdrzął, malując na twarzy krzywy uśmiech.

Matthew pokręcił głową z konsternacją, ale nie odważył się odezwać.

Dobrze, pomyślała Moon, niech lepiej milczy.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że jej przyjaciel martwił się o nią, ale nie znosiła, gdy prawil jej kazania i prosił, by w końcu darowała sobie udział w igrzyskach. Najchętniej widziałaby Moon w domu, a przecież nie była stworzona do gotowania, sprzątanania,

grzecznego czekania na swojego wybranka... Do cholery! Jej przeznaczeniem była walka!

– Kiedy walnęłam na ziemię – kontynuowała, próbując dłużej nie zwracać uwagi na Matthew – poczułam pod palcami dziwne żłobienia. Przeturlałam się, unikając spotkania z tą bezmózgą kupą mięsa, i wtedy zauważyłam, że pod piachem kryje się jakiś relief. Widziałam go tylko przez chwilę, lecz te wyjątkowe wzory zapadły mi w pamięć. Tamta płaskorzeźba do złudzenia przypominała to, co narysowałaś – rzekła do Devine.

– Wygląda na to, że dostaliście swoją odpowiedź – skostatowała tajemnicza kobieta, po czym ziewnęła, szeroko otwierając usta. – Skoro już wiecie, gdzie szukać – wzruszyła bezceremonialnie ramionami – może uznamy dzisiejsze spotkanie za zakończone?

Rebelianci popatrzyli na nią z irytacją i skołowaniem.

Zachowuje się jak jakaś pieprzona, kurwa, jej wysokość, przeszło Moon przez myśl.

– Robię to niechętnie – zaczął Bram – ale muszę przyznać Devine rację – oznajmił, a Moon ledwo się powstrzymała od wywrócenia oczami. – Powinniśmy odpocząć i przemyśleć sobie wszystko jeszcze raz na spokojnie. Spotkamy się pojutrze i zdecydujemy, jaki będzie nasz następny ruch. Jeśli do tego czasu ktoś postanowi się wycofać, nie będę go zatrzymywał. Porywamy się na coś bardzo niebezpiecznego. Chcę, żebyście byli w stu procentach pewni swojego wyboru.

Shana, Randal i Florian westchnęli głośno, a Matthew znów pokręcił głową. Florian położył dłonie na ramionach swojej córki, po czym przytaknął. Moon nawet nie drgnęła. Miała sto myśli na sekundę, a żadna z nich nie przewidywała niczego dobrego. Może to i dobry pomysł, by dać sobie na dzisiaj spokój. Natłok informacji nieźle ją wstrząsnął i przypuszczała, że pozostali odczuwali to samo.

– Moon – zwrócił się do niej Bram. – Matthew. – Zerknął na swojego syna. – Wyjdźcie jako pierwsi – nakazał, wskazując skinnieniem głowy drzwi.

Moon natychmiast zasłoniła twarz kapturem, po czym bez zbędnych słów uniosła lekko rękę, by pożegnać się z pozostałymi. Już chciała ruszyć ku wyjściu, kiedy ktoś złapał ją za nadgarstek.

Devine zmrużyła niemal czarne oczy i wciągnęła głęboko powietrze przez nos.

Czy ta egocentryczna megalomanka właśnie mnie obwąchała?,
zdziwiła się w duchu dziewczyna.

– Dobranoc – wymruczała kobieta, uśmiechając się do Moon w taki sposób, jakby chciała ją pożreć.

Matthew szybko dołączył do zmieszanej przyjaciółki, a kiedy Devine puściła jej rękę, niezwłocznie opuścili Kryjówkę Lisa.



Moon była kłębkim nerwów. Rozglądając się uważnie wokół, szła szybkim krokiem w stronę swojego domu. Mięśnie szczęki powoli zaczynały ją boleć od ciągłego zaciskania zębów. Dzisiejsze spotkanie nie dawało jej spokoju. Ta cała sprawa ze sztyletem, o którym mówiła Devine... Coś tutaj ewidentnie śmierdziało. Kobieta pojawiła się znikąd i posiadała niebezpieczną wiedzę, dla której wielu byłoby gotowych zabić.

– Zaczekaj – wyszeptał idący tuż za nią Matthew, o którym prawie zapomniała. – Musimy porozmawiać. – Nieoczekiwanie złapał jej ramię, a dziewczyna w ostatnim momencie powstrzymała się od poczęstowania go pięścią w nos.

Zatrzymała się raptownie, mało brakowało, a jej przyjaciel by na nią wpadł. Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. Tak powoli, jak tylko mogła, odwróciła się, przesywając go morderczym spojrzeniem.

– Nie patrz tak na mnie. – Uniósł ręce w geście niewinności. – Czy to takie złe, że się o ciebie martwię? Zależy mi na tobie, przecież doskonale o tym wiesz. Myślałem, że czujesz to samo.

Moon nie miała pojęcia, co tak właściwie czuła. Matthew był dla niej ważny, bez dwóch zdań, i oddałaby za niego życie. Ale czy czuła to samo?

– Traktujesz mnie jak dziecko – powiedziała, postanawiając nie reagować na jego ostatnie zdanie. – A sam porywasz się na coś, z czego prawdopodobnie nie wyjdiesz cało – zarzuciła mu, mrużąc oczy. – Pospieszmy się, zaczyna świtać. Możesz u mnie zostać, ale nie mam zamiaru się z tobą kłócić. – Ruszyła przed siebie, skręcając w lewo. Jeszcze tylko kilka metrów i będzie na miejscu.

Odetchnęła z ulgą, spostrzegłszy, że Matthew idzie za nią w milczeniu. Na dzisiaj miała już serdecznie dość wszystkiego. Nie chciała dyskutować o tym, jaka to jest niewinna i krucha. Była wojowniczką! Nie rozumiała, dlaczego Matthew nie potrafił tego pojąć, znał ją już od tylu lat. Powinien przecież w międzyczasie zauważyć, że nie przeżyłaby bez walki. Udział w igrzyskach był dla niej jak balsam na obolałe rany. Można by pomyśleć, że po tragicznej śmierci brata będzie trzymała się z daleka od areny, ale Moon nie była w stanie siedzieć beczynn timer domu, bojąc się nawet własnego cienia. Przysięgła sobie, że już nigdy nie będzie słaba, że już nikt nigdy nie będzie jej niańczył. Pragnęła odpowiadać sama za siebie. Tristan okłamywał ją, z góry osądzając, że nie udźwignie prawdy. Gdyby wcześniej zdjęła klapki z oczu, może ciągle by żył. Była przekonana, że to odpowiedzialność za nią była głównym czynnikiem popychającym brata do takiej decyzji. Chciał zarobić szybkie pieniądze, by wyciągnąć młodszą siostrę z Południowego Sektora.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Przygryzła dolną wargę, odganiając przykre myśli. Musiała skoncentrować się na teraźniejszości. Przeszłości nie zmieni, choćby nie wiadomo, jak bardzo się starała. Jej brat odszedł z tego świata i już nie wróci.

Gdy dotarła do domu, otworzyła drzwi, zapraszając Matthew do środka. Weszła zaraz za nim, a następnie przekręciła klucz w zamku.

– Chcesz porozmawiać o dzisiejszym spotkaniu? – zapytał ostrożnie.

– Chcę spać – odpowiedziała krótko, idąc w stronę ciasnej łazienki. – Możesz położyć się na materacu. – Wskazała cienką matę, na której kiedyś spał Tristan. – Albo daj sobie wreszcie spokój i wróć do siebie. Nie musisz się mną opiekować. Zrozum to w końcu. Sama doskonale sobie ze wszystkim radzę.

– Wiem, Moon – wymamrotał, opadając ciężko na stary materac. Westchnął zmęczony, pocierając twarz dłońmi. – Wiem – powtórzył, tym razem głośniej i wyraźniej. – Jesteś dla mnie ważna. Zależy mi na tobie. Chcę, byś była szczęśliwa. Chcę widzieć uśmiech na twojej twarzy. – Nawet na nią nie spojrział. Jakby wypowiedzenie tych słów sprawiało mu wystarczającą trudność. – Idź się umyć i spać – zmienił niespodziewanie temat. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem zmęczony... To tylko zmęczenie – dodał prawie szeptem.

Moon znieruchomiła na kilka sekund, lecz szybko wróciła do siebie. Zaciśnęła usta w wąską linię, czując niespodziewany ciężar na sercu. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Z trudem przełknęła ślinę, jakby ktoś zasznurował jej gardło. Nie mając bladego pojęcia, co mu na to odpowiedzieć, weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.